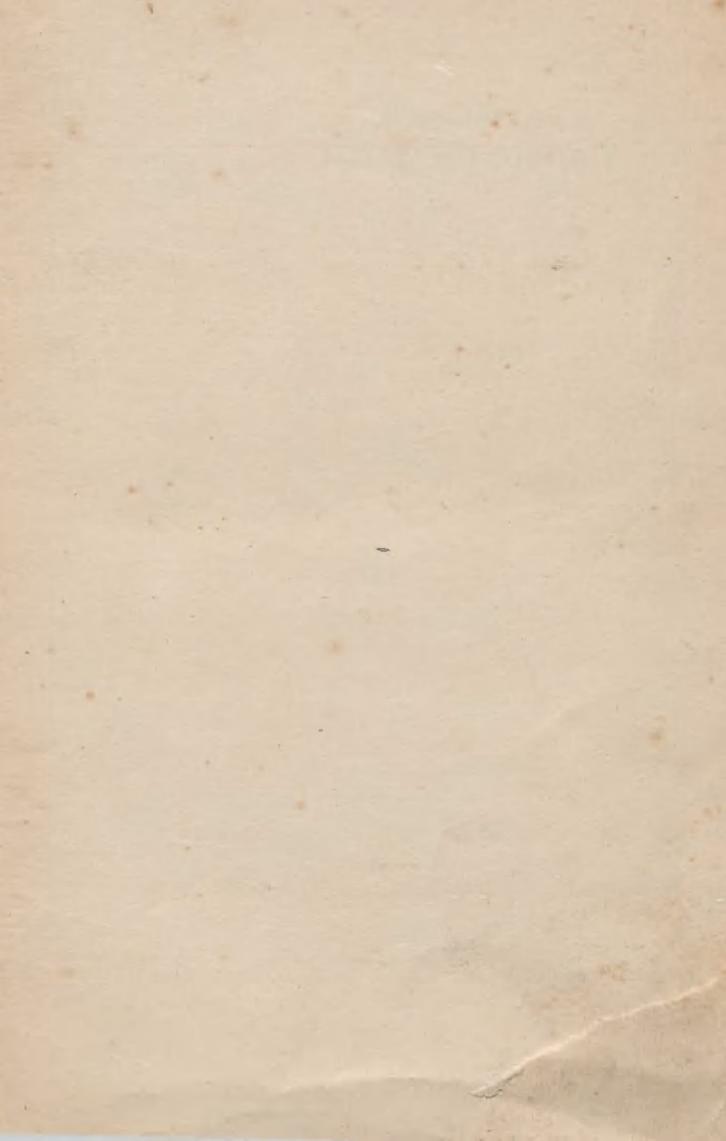




DAR
ANTONIEGO
BROSZA



BIBLIOTEKA
DZIEŁ WYBOROWYCH

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH

Wydawnictwo tygodniowe

Redaktor
Stanisław Lam

Wydawca
Feliks Gadomski

Rok II Tom XVIII

(Ogólnego zbioru serja II, tom XXXI)

Cena tomu w prenumeracie . . . zł. 1.39

Cena tomu poza prenumeratą . . . zł. 2.20

Redakcja i Administracja:

Warszawa, Sienkiewicza 12

WŁADYSŁAW ORKAN

Komornicy

Powieść

Wydanie trzecie

Antoni Stroncz

Stroncz Antoni
1902

Księgarnia Biblioteki Dzieł Wyborowych
Warszawa, Sienkiewicza 12

1090

Złożono i odbito w drukarni „Rola”
Jana Buriana, Mazowiecka Nr. 11

Oprawiono w Zakł. Introligatorskich
J. Modzyńskiego, ul. Kopernika 4a

„Jakież znaczenie posiada jednostka ludzka, której podobnych tysiąc przeszło milionów roi się na powierzchni tej prawie niedostrzegalnej ze słońca drobiny, a z których zaledwie jedna na milion pozostawi jakiś ślad swego istnienia? Cóż znaczy człowiek, jego przyjemności i cierpienia?*

J. Wilhelm Draper.

Antoni Broński



Powszechne jest mniemanie, że górale, to ogromnie wesoły naród; śmiechu i gwary u nich pełno, wesele tryska im z oczu snopami iskier świetlnych, humor niewyczerpany ich owiewa... Zaiste! Przyjeżdżającym w odwiedziny chłop nie pokaże smutnego oblicza. Nie jest to jednak ten bezinteresowny, szczerzy uśmiech, jaki ubierał twarz dawnego kmiecia, gdy witał w progu nowych gości. Jest to raczej maska, konwencjonalny śmiech, banalny owoc cywilizacji, która każe robić „przyjemną twarz” wobec spotykanych ludzi, kiedy dusza płacze, albo, co gorsza, radość zwykłą, uprzedzająca spodziewany zysk. Pierwszy rodzaj tej wesołości sztucznej widzi się powszechnie w całym plemienu górskim, drugi stał się płaską grzecznością kupiecką dwóch miejscowości, zatracających szybko charakter swój pierwotny, czysty. Mam tu na myśli Rabczanów i Zakopiańców. Ci wykształcili jedną władzę umysłu — spryt. Staną się też niezadługo zupełnie poprawnymi Europejczykami, bo i krew ich góralska odbarwia się powoli... Cywilizacja uszlachetnia! Wiadoma rzecz.

A naród cały górski jest w sercu swoim smutny,

daleko bardziej, niż dolinne Lachy. Smutek to ziemski, bo wynikły z biedy, z ekonomicznego upadku — po prostu smutek pragnących ciał... Ale gdy się rozpęta, gdy się uduchowi — staje się smutkiem ugorów i tłoków i tych jałowców i tej pustki głuchoj, rozpaczą prawie, żalem beznadziejnym, tęsknicą wieczną trawiących się dusz...

Stąd w realnych obrazach piszących górali będzie to smutek owiec, szukających paszy, a w poezjach — własna ich dusza, idąca ugorem, wśród pustki głuchoj, nieskończonej, z melodją wieczną, dziwnie smutną: „Na Anioł Pański biją dzwony...”

Powszechne też jest mniemanie, że chłopska dusza jest mało złożona, myśli zaś, o jednym skrzydle, trzepocą się jak drób; wesołość musi stać się koniecznie grubym śmiechem, strapienie musi być koniecznie lamentacją! Subtelnych uczuć nic... A przecież jest w tej duszy tak szeroka skala, tyle nieznanых strun, że potracone, grają przezystą lirykę naiwnego serca pierwotnych ludzi-pasterzy, albo szepcą dziwne słowa planetniczą gwarą, zrozumiałą jedynie tym, co zwykli siadać na powietrznych chmurach i patrzeć stamtąd okiem smutnem na tę małą okruszynę u stóp swoich — ziemię... W zapadłym jakimś kącie można spotkać panteistę, co zna mowę ptaków, nerwowego poszukiwacza skarbów, milczącego filozofa rezygnacji, który się już niczemu na świecie nie dziwi, a prócz tych naturalnie wszystkie warstwy ludzi, jakie się widzi i w szerokim świecie. Najmizerniejsza z wioszczyn ma swoją arystokrację rodową, średnio zamożnych chałupników

i bezdomną, od wspólnego stołu życia odłączoną, rzeszę. Na zewnątrz, podobnie jak w cywilizowanym całym świecie, wszystko zdaje się jednako szarem, smutnym, nie wartym uwagi — a wewnątrz, pod skorupą bezbarwnego życia, dzieją się rzeczy straszne, tragedje ciche... snują się bezustanku te podwodne widma — czasem bełkot, wir mówi, że coś tam się stało — lecz wnet powierzchnia się wygładza i dalej płynie to życie mętną rzeką: jednakie, szare, monotonne...

Mała fala tego życia bełkocze, szemrze i w mniejszym szkicu, aż połączona z szumem wodospadów, zahuczy głośniejsz w roztokach...

W. O.

I

W cichej, głębokiej kotlinie leży górską wioszczyna: Koninki. Przytuliły ją Gorce do piersi i objęły z dwóch stron ramionami. Dokoła spadającej wartko roztoki leśnej rozłożyły się osiedla mniejsze i większe po dwa, cztery i więcej zabudowań.

Grunta jałowe, kamieniste, podnoszą się z obydwu stron wody ku ogołocnym z lasów górcom. Na wązkich, poprzecinanych wysokimi miedzami, zagonach szarzeją nierzadko potracone kępy, zarośnięte gęstą krzewiną. Stoki gór pokryły nagie, skaliste ugory, na których było rokrocznie zbierczy zębami po próżnicy. Trudno skuć trawę, gdy jej nie ma... Pastwiska te i tłoki, jałowcami porośłe, opierają się drobnymi przylaskami o długie wyręby.

W Koninkach cicho żyją ludzie. Góry odcięły ich od świata, z którym łączy ich tylko jarmark, odpust, lub jakie wielkie święto. Poza tem nic. A prawda! jedno jeszcze: zarobek. Co roku bowiem część młodych opuszcza wieś „la chleba”. Tłucze się za nim po świecie i wraca z dziwnymi powieściami o „tamtych krajach”,

ale z próżnemi rękoma i, co najczęściej, z uteranem zdrowiem.

Zresztą pojęcie „świat“ ma dla nich takie samo znaczenie, jak księżyc lub słońce: coś bardzo dalekiego, nieznanego, o czym im tam czasem ktoś coś opowie, czemu jednak nie bardzo radzi dowierzają.

Chętnie natomiast słuchają wszelkich nieprawdopodobnych bajek. W tem praktyczny umysł chłopu przystępny jest pierwotnej fantazji. A może też już wyszał z niewolnych pokoleń, że „co świat dobrego zrobił, to nie la chłopu...“ i z fantastycznych zdarzeń wysnuwa dla siebie pociechę.

„Bedzie ta wojna?“ — pytają jedni, a drudzy: „Co ta słyhać?...“ Jedni i drudzy nie z prostej ciekawości. W zapytaniu o wojnę widać obawę przed nowymi ciężarami, a w pytaniu „co słyhać“ kryje się jakaś nadzieja nieokreślona, jakby spodziewanie się skądś niewiadomego polepszenia bytu. W pierwotnym umyśle chłopu rodzi się pojęcie „czegoś“ lub „kogoś“, co przyjdzie niewiadomo skąd i rozweseli jego dolę... Stąd legendy o tajemniczym „arcyksięciu“, to o jakimś wybawicielu z bajki, który się kryje między ludem.

W Koninkach lud wiedział coś o tem. Na ucho soibe opowiadali starzy i młodzi, snując na przyszłość najdziwaczniejsze pomysły.

Poza tem żyli sobą i swoją gromadą, zamkniętą w cichej kotlinie.

O „życiu politycznem“ nikt tu nie słyzał, nie wiedzieli nawet, czy istnieje takie życie, ktoby im do-

niósł!... A zresztą kogoby mieli słuchać, kiedy im „ksiądz o tem nie mówi”.

Słyszeli wprawdzie starsi o wybieraniu na posła, ale cóż ich to mogło obchodzić? „Nikomusię ta z nas” — powiadali — „do Wiednia nie spieszy, bo na to trza mieć pieniądze... no, i rozum do tego!” Jak wójt chciał, tak głosowali i było. Coby nie miało być!

I spokojnie żyli ludzie w Koninkach, nie kłopotali się światem, bo powiadali, że mają dość swojej biedy...

Za to sobą nawzajem interesowali się rzetelnie. Weszło to nawet w przysłowie. „Nikt” — pada — „we wsi nie kichnie, coby mu na drugim końcu wsi nie pozdrówkali...”

Powiedziałby ci każdy na ucho: z kim Zośka od Zapały ma dziecko (ta, co to na plebanji słurowała), za kim ulatuje Hanka od Kozery, czyj się chłopiec utopił na jazie łońskiego roku i wiele swoich dzieci ma Szymonek z nad Brzegu (ten, co ma taką prymną babę, a sam dochodzi sześćdziesiątki!...)

O Satrowej, co synów trzyma na uwięzi, nie dając się im żenić, o Kozerze bałamucie, co go zawdy po nocach „cosi” wodzi — wie dobrze każde dziecko. A o starym tracznym Złydaszyku, zwanym powszechnie Chybą, pasterze śpiewają przy bydle...

Słowem — jeden o drugim wiedział więcej, niż każdy o sobie. Przy żniwach, przy kopaniu — najczęściej opowiadano o nieobecnych. Pono i w mieście tak?... Z tą różnicą, że tam kásają, aby kásać, tu opowiadają

ino do śmiechu. I o śmiech trudno w biedzie — musi zawdy rodzić się czymś kosztem...

Co jeno ktoś o kimś zasłyszał — podawał dalej, i przez to każdy był na widoku całej gromady. Musiał się strzedz, by go nie wzięli na języki. I to coś znaczy w takim zbiorowisku... Byli też ludzie, o których nic powiedzieć nie zdołano, mimo chęci; takich szanowano i poza oczy. Wielom sprzyjano w oczy tylko — lecz było paru, z których się na głos śmiano. Choć nie byli złymi. Bo złego śmiech nie dotknie. Ich zaś bolał...

W samym środku wioski, koło wody, gromada kobiet kopie ziemniaki. Napytał je stary traczny i kopią mu od rana. Czasem którejs z nich przewlekły głos wiatr odnosi, a niekiedy gromadne hałaśliwe śmiechy...

— Dziwna i to rodzina, jak i ci od Satra...

— Hej!

— Żyją na kupie. Ani się żaden nie żeni...

— E bo im matka nie da! — objaśniła któraś. — Pedziała, że jej pierwy włosy na brodzie urosną, zanim przyjmie synową do chałupy.

— O niechże se ich też chowa do wóle Boskie! — roześmiała się Kozerowa Hanka. — Dyćby ich wnetki i gdowa nie chciała. Najmłodszemu Jantkowi trzydzieści roków mija...

— Co też ty gadasz? Chyba styrdzieści! Dyc Romkowi bedzie z pięćdziesiąt...

— Zaczekajcie — podjęła Łukaska — mnie już na świętą Magdalenę minie sześćdziesiąt parę, a ja małą dziewczyną u nich służyła, kie sie urodził.

— Stara, wicie, gruntu nie puści — przerwała inna — pokiela będzie żyć. Nagazdują się, pada, na czas, skoro mnie nie stanie...

— I na co jej to wyjdzie?

— Poradźcież!

— O, przejęta trusica! Ino przytupkuje, przyklaskuje i sierdzi się, a łązić nie zdole... Ożeniłaby którego i miałyby spokojny łeb.

— Dyć jej powiedz! toby ci odpaliła, jak staremu traczemu... Z nią dużo nie naśpasujesz.

— Małe to, wicie, suche, a takie złe!

Głośny wybuch śmiechu przerwał na chwilę ciche obgadywanie. Kopały dalej i szukały w myśli, o kimby tu zacząć... Miałyby co mówić o Chybie traczym, ale synowa by mu doniosła... I o starym Kozerze nie mało wiedziały, ino, że córka słucha! Żeby jej nie było...

— Ale, ale! Wicie, co się stało Djabłowi od Malarza?

Wszystkie stanęły ciekawe.

— Cosi go na drodze urzekło... Szedł poskuczany nieborak, a tak jajdał! Myślałach, że świnię żenie z jarmarku, bo tak skuczał...

— Może go i kto śturknął niechcący...

— Któż wie. Jemu, to się ta byle co przytrafi...

— Bo łązi tam, ka nie trza.

— Śmiały się i uprzyjemniały sobie pracę, jak mogły.

Z drugiej strony wody, na Satrowem polu, widać trzy baby, pochylone nad rządками. Satrowa skąpa,

nie przynajmie do kopania, nie upyta ludzi. Za to sama charuje za dziesięcioro. Ledwo ją uznać pomiędzy rządками, takie to nikłe, wyschnięte, ale dotrzyma chłopu przy robocie.

Służąca jej pomaga i biedna, niemłoda Jagnieska, co już od wiosny u niej komuruje. Komornica obstoi za trzy dziewczki — powiadają ludzie, bez przesady. Jagnieska wszędy idzie do roboty, gdzie jej upytają; a proszą ją chętnie, bo się o małym obejdzie. Dadzą jej dobre słowo, ziemniaków parę to weźmie... U Satrowej ma schowek na cały swój majątek: w piwnicy kąt na ziemniaki, w sąsiedku na ziarno — i pościel na boisku... Cóż jej po więcej? Na nalepę przystawi ku garnkom podczas warzywa swój żelezniczek — i zje w kąciku, co jej Bóg nagodził... Zresztą i nie zawdy im przy ogniu zastępuje, bo trzy dni w tygodniu suszy regularnie, zje ta raz na dzień pieczonego ziemniaka i dość ma, nie krzywdzi se...

Satrowa rada wzięła ją do siebie. Roboty dość w chałupie i na polu, to się przyda. Płacićby obcemu trzeba, a ona ta popchnie kielo telo i nie przykrzy się o nic. Nie robi ludziom, to jej pomoże, jak i dziś... Wyszła od rana i kopie. „Może jej trza dać obiad i wieszczę, ale cóż to płaci? Nikt ci za darmo nie przyjdzie” — uspokaja się w swem sumieniu stara Satrowa i przy robocie daje dobry przykład. Pierwsza zaczyna nowy rząddek...

— Chybowe hań kopia? — powiedziała Wikta, służąca, aby coś powiedzieć.

— Kopia i ony sporo, ubywa im... — dodała Jagnieska.

— Nie próżnują ludzie! — rzekła Satrowa, jakby im chciała rzec: „Kopmy i my!”

— Kto im hań to kopie? — przystanęła Wikta, by choć tyle odpocząć — Kozerowa Hanka, Hażbie-ta od Chyby...

— Kop, kop, nie wypatruj! — zgromiła ją stara.

— Przecie sie nie pali... — zamruczała Wikta.

— A Margoński hań nie ma, tej z za wody? — spytała Jagnieska.

— Nie widzę jej... Pono sie gniewają ze starym Chybą.

— Uwięzła i ona, jak mrowczyca w smole... mocny Boże!

— Biedne to, samo nima co do gęby włożyć...

— Hej!

— A tu trza robić na cudzym gruncie.

— Ja też zawdy padam — mówiła Jagnieska — że lepiej się pomykać pomiędzy ludźmi, niżli wysta-wić swoją chałupę na czyjem i potem odrabiać, jak pańszczyznę jaką...

— Dyc nie ona, bo nieboszczyk jej chłop...

— Cóż z tego? Umarł zawczasu, ostawiwszy ją i dziopę i tego Józka...

— Dyc żeby nie Józek, toby z głodu pomarły! On dzień w dzień przy fernalach i zarobi przecie kie-lo telo. A stary Chyba...

— Ani mi nie gadajcie o nim! — przerwała Sa-trowa — bo mnie tu, tu mnie boli! — uderzyła się pięścią w serce — jak se na niego wspomnę... Ten stary haman przeklęty! Ten... ten... już nie wiem, jak

go nazwać! Mojemu Michałkowi ciągiem napowiada: „A zeń sie! A matki nie słuchaj...” juści! Bo Michałek taki głupi!... Jak ino wejdzie do izby, to mi wszystko opowie... Kiesi znowu Jantka złapał u kościoła, dalejże namawiać go do żeńby!... Co on ma do moich dzieci, ten opalony łeb! ten strzygoń!... Niech se lepiej swoich patrzy. Ja sie do niczych rządów nie mieszam... Ale by mu tracz ustał doznaku, żeby nie moje dzieci kochane. One zwożą tramy i rzną dzień po dniu, a on ino piniądze zgarnuje... do tego dobry! Ho! ho! ho! Liczyć, chować, zgarnować!... I cóż ma, choć je taki bogacz? Kiełoż gruntów naskupował? Na swoim ledwo zdole wyżyć. Żeby nie tracz...

— Nie komornicy, co za wodą siedzą...

— Toby skrepiował doznaku!

Ustała zdyszana, zapieniona... niktby nie przypuścił, że w tem nikłem, skulonem takie wielkie zło siedzi.

— Co on ma do moich dzieci? — zaczęła po chwili. — Czy on ich chował, abo co, że sie teraz niemi zajmuje? Taki nieproszony ociec!

— A zły, niech ręka boska broni! — mówiła Jagnieska. — Dyc-ech mu ta robiła, to wiem... Ze synową co nie nawydziwia, to strach! Nieraz w głósecki na niego krzyczy... I cóż ma biedna robić? Chłopa ma do niczego. Panie ratuj! Ino chodzi, a mruży, a medytuje, wsze cosi do siebie gada... taki dumac. Dyc robi, bo robi, jak i w kuźni, ale cóż z tego? Skoro on jakisi głuptawy... Wsze o czemsi myśli.

— Pan Bóg pokarał go takim synem — rzekła

poważnie Satrowa. — O! Pan Bóg dobrze wie, jaki kto kany jest i co sie mu patrzy... Choć On ta wysoko, ale widzi!

Wszystkie trzy spojrzały nabożnie do góry i zamilkły na chwilę, zajęte zbieraniem wykopywanych ziemniaków.

— A jacyż i ei dwa najmłodszi! — podjęła stara — ani to do Boga, ani do ludzi, takie obieśniki skończone. Sobkowi już będzie ze dwadzieścia roków, a jeszcze nie był do spowiedzi... tak żyje! Wojtek ino światem patrzy, lofer będzie z niego, nic więcej...

— Dyc prawdę gadacie, bo nie śpas! — potwierdziła Jagnieska. — Pokarał go Pan Bóg — ciągnęła dalej — ale też nic godnego nie wyrośnie, jak ojce ladcaco... dyc wicie! Bo to lumpok był, jak i Chyba stary za młodu, wszyscy sie na niego skarżyli. Ojców nie szanował nie słuchał, od czasu był taki zewzięty, jak tchórz. Powiadali, że jak ssał, to matce piersi poobgryzał...

— Ratunecku! — szepnęła Wikta i zatrzęsła się cała.

— Tak, tak... wilk był i wilk jest dosiela.

Kopały dalej zawzięcie i opowiadały gorszące historie o starym Chybie. Satrowa przesadzała w opowiadaniu, szarpnięta przez niego w najdrażliwszą strunę sercową, strunę matczynej troskliwości. Najbliższy przyjaciel stawał się wrogiem, skoro jej wspomniał tylko o żeńbie „dzieci”. Nic to, że dzieci miały po kilkadziesiąt lat, chciała być do śmierci ich matką...

Jagnieska też chowała w głębokości serca urazę

do Chyby, że robił na despet Margośce... Czuła się z nią spokrewnioną przez biedę i wspólny los komorniczy.

Wikta zaś przyświadczała każdą razą, bo co jej to szkodziło? Nie służy u Chyby, ino u Satrowej... Gospodyni schlebiać nie zawadzi, skoro sam człek na tem nie ucierpi.

Weprały w Chybę, co ino wlażło. Nie szczędziły mu ostatnich przezwiśk.

W rzeczywistości Złydaszyk, inaczej Chybą zwany, nie był takim czarnym doznaku, jak go odmalowała Satrowa... Nie. Był to gospodarz, zasiedziany na swoim kawałku od dziada pradziada. Grunt miał wydajny i żyzny nad samą wodą, na wodzie tracz i młyn do tego.

Walny był z niego chłop — jak powiadali dalsi ludzie; a że sąsiedzi pskali nań okrutnie, to nie dziwota. Z sąsiedztwem żyje się całe życie, z dalszymi tylko czasem.

Synów miał trzech. Baba mu pomarła na jadwencie, ino nie pamięta, którego roku... dość, że pomarła i nie ma jej... a szkoda! boby się przydała w chałupie. Z konieczności musiał syna żenić i przyjął niepotrzebny kłopot, bo się synowa z młodszym Sobkiem nie zgadza. Ciągłe obraza boska i nic więcej...

Z niewiastą wprawdzie wziął parę stówek i krowę, ale to jakosi przeszło i nie znać w chałupie. Babskie wiano — padają — jak wilk nie zje, to zdechnie samo...

Dziwny był ten syn najstarszy, Jasiek. Cichy

i spokojny, dniami całymi chodził jak noc zasępiony...

— Jak się uweźmie, to — pada — tydzień przejdzie i słowa do nikogo nie przepowie... taki dumac! Na kogo on się podał? Przecie matka była rozmowna... ba! na minutę gęby nie zawarła, i mnie, chwała Bogu gwary nie brak... a ten taki! Dopust boski, czy co takiego... — mówił stary przed ludźmi, a w sercu myślał: — Dumaj! Choćbyś do sądnego dnia dumał, to nie wydumasz...

Nikt z ludzi nie wiedział, jaka cicha walka toczyła się pomiędzy Jaśkiem, a starym. Była to walka dwóch talentów — z jednej strony nieświadoma, z drugiej przezorna i zawzięta.

Ojciec, praktyczny gazda i między ludźmi obrotny, był majstrem zawołanym. Robił tracze, młyny i młynki, był kołodziejem, stolarzem na całą wieś i dalej... Słyszano o nim wszędy i znoszono z okolicznych wsi robotę — póki syn nie dorósł.

Jasiek, małym już chłopcem strugał fujarki, harmonijki naprawiał i robił w kuźni, przy ojcu. Z czasem ojciec zdał na niego kuźnię i rad widział, że syn garnie się do świata. Ale cóż? Jaśkowi kuźnia nie starczyła, począł majstrować koło tracza, porobił nowe koła, młyn naprawił — i ojciec ze zgrozą zobaczył, że syn umie więcej od niego.

— Skąd jemu to przychodzi? — myślał stary — czyby się już z tem urodził, czy co?

Ale nic — czekał, co to będzie dalej.

Jasiek wolnymi godzinami wciąż „majstrował” coś w kuźni, albo siadywał na tracy z podpartą głową. Przychodzili ludzie z zamówieniami — to się budził i w mig wykończył robotę. Znali go już wszędy. Robił koła i kółka, pługi nowe, żelazne, zegary naprawiał przy czasie, a nawet fuzje zrobił ze dwie i skrzypiec parę.

Wiść o nim leciała daleko. Na ojca nikt się nie oglądał — zaćmił go syn.

Co się tam w sercu ojca działo — niewiadomo. Nie przeszkadzał Jaškowi, żył, jak dotąd, lecz gdy kto pochwalił zasłużenie Jaškową robotę — zieleniał, kłął cicho i zamykał się w chałupie. Zdawało się, że „majsterkę” zarzucił doznaku; pracował ino na gruncie.

— Dyc jest syn, to wam niech zrobił — odpowiadał, gdy go prosić przyszli. — Ja sie ta już tem nie trudnię.

Ale inaczej myślał w sercu. Postanowił zrobić coś takiego, czemu syn nie sprosta. Nie wiedział jeszcze co, ale czuł, że musi zrobić, inaczej powiedzą ludzie: „Wicie! Jasiek przemyśniesz od ojca”...

— Bedziemy widzieć, kto przemyśniesz! — mrucał, zacinał się w zawziętości wewnętrznej i pozierał z boku na Jaška.

Ten zaś cichy, nieświadom gniewu ojca, przesiadywał w kuźni, albo dumał, siedząc na tracy z podpartą głową.

— Dumaj, choćby do sądneho dnia! to nie wy-

dumas — powtarzał stary i skarżył się przed ludźmi na syna, że „taki dumac i niemrawa“.

Ludzie śmiali się, żalowali starego w oczy, że szkoda było nakładu i pracy, by dać synowi „talant do ręki” — ale z robotą chodzili do Jaśka.

Chyba też czuł wewnętrzną wzgardę dla ludzi.

— Żarłyby ino bestje — kłął po cichu — o brzuchu ino wiedzą i myślą, że im każdy równy...

Czuł się o wiele wyższym od sąsiadów, choć z nimi żył, bo żyć trzeba, nic nie pomoże. Ino tego nie mógł pojąć u Jaśka, że z byle komornicą będzie gadał, (choć mało mówi) i nieraz porządnemu gaździe robotę zatrzyma, a jej kopaczkę poklepie...

— Nie musi on więc wiedzieć — pocieszał się wtedy — boby przecie z byleśkim nie był tak za pan brat. Już Sobek inakszy jest, choć nie majster...

Sobek też z gruntu inakszy był od Jaśka. Ober-tal, jakich mało, bitnik i zawadjaka, znany na całą wieś. Nie było święta, żeby się w karczmie bez niego obeszło; a jak on był, to i bitka była. Twardą miał skórę, poobijaną zewsząd, wytrzymały był na wszystko. Nie lubili go ludzie, ale się bali. Wiedział on o tem i rad wzniecał postrach djablami figlami. W domu kłótnik był nieznośny. Najwięcej od niego ucierpiała bratowa. Nie było komu jej bronić. Jasiak ciągle na traczu, dobrze, że choć na noc przyjdzie do chałupy...

Sobek kpił z Jaśka, schlebiał staremu i uchodziły mu przez to różne sztuczki, któreby Wojtkowi młodszemu nie uszły.

— Ten huncfot — jak go nazywał ojciec — nig-

dy nie przyjdzie, jak co przeskrobie, nie przeprosi, ino sie chowa poza węgły. Myśli, że ja go będę przeproszał!... Skiśniesz hyclu, jak tak bedziesz robił. Poczka! — odgrażał stary — nie słuchasz ojca, to posłuchasz kiedyś psie skóry!...

Wojtek śmiał się w oczy, co drażniło starego i uciekał na wieś, albo za wodę „do Margoścycnej Zośki”. Nieraz i trzy dni nie było go widać. To najbardziej ojca gniewało.

— Po co on tam lata? Nie ma co jeść w chałupie, ten huncfot!... Idźno Haźbieś po niego — mawiał do synowej — bo jak póde, to mu wszystkie kosteczki porachuję!... A zapowiedz tym dziadom, niech mi dziecka nie ściągają do siebie! Pokiel znoszę, to znoszę...

Haźbieta wychodziła i zwykle wracała sama.

Wtedy stary ciskał się i przeklinał godzinę, w której puścił na swój kamieniec „komorników, dziadów przeklętych”, którzy mu dziecko zwlekli.

Zapomniał jednak stary Chyba, że to ojciec jego ożenił długoletniego służącego swego z Margoską sierotą, dał im plac na kamieńcu za wodą i drzewa udzielił na chałupę. Oni zaś mieli pomagać mu w polu, i pomagali.

Zabaczył se o tem stary Chyba... Może się mu zdawało, że to już było za jego gazdowania, abo, że już tak długo żyje na świecie... Któż wie!

II

Na Chybowym traczu zebrało się sporo chłopów. Był Szczypta z pod Gronia, Jędrrek od Zapały, Błażek od Kusia, zwany także Kurjerem, Kozera stary, no i trzech Satrowie: Romek, Michał i Jantek.

Ci ostatni bywali tu codzien. Zwozili z lasu odziomki, wykroty suche skupowali gdzie mogli i rznęli w traczu od wiosny do zimy i w zimie nawet. Deski sprzedawali Mszanikom, każdy na swoją rękę. Pracowali wspólnie; a dzielili się zarobkiem. Było to ciche sprzymierzenie trzech braci przeciwko matce. Żaden się z tem głośno nie odzywał, ale każdy myślał po cichu, że jak zarobi parę stówek, to się przyżeni byle gdzie do gruntu i nie będzie czekał na matczyne przyzwolenie do żeńby... Tymczasem słuchali drwin ludzkich i przycinków i od świtu do nocy pracowali, jak woły.

Szczypta i Jędrrek mieli w traczu tramy, chcieli je zerznąć i sprzedać, bo na sól nie ma. Leżą one tu już od wiosny, przyłożone innymi, ale nieporada się było wyrwać z chałupy. Zawdy roboty mocki na polu i w izbie. Jesienią swobodniejszy czas ku temu, kiedy się już z pola pozbierało i przewaliła się ta praca ustawicz-

na. Jest, co prawda, kopanie, ale to babska rzecz, to się ta niech schylają nad rządzkami. Chłopa prędzej krzyże rozbola... Tak se to myślęcy ułożyli i przyszli.

Błażka bo tu nic nie przywiodło pilnego, ale on się ta wszędy znajdzie, choć go nie proszą. Rad na wieś idzie i przesiaduje po chałupach godzinami, to i tu mógł zajść i posiedzieć przy czasie. Za młodu światem chodził, to ma co opowiadać. Ino, że nie wie, gdzie się prawda kończy, to mu się i gada czasem, samo nie wie, co... Lubią go wszędy, zwyczajnie człeka, z którego się można uśmieć. Ozór ma długi — powiadają — ale też ta i nikomu nie szkodzi, bo mu nikt nie wierzy... A że nowinki rad zbiera i po chałupach nosi, za to go też „kurjerem” zowią.

Kozereę musiało tu „cosi” przywieść, bo jego tak wodzi, jak zwyczajnie pijaka sprawnego i bałamuta.

Zeszli się wszyscy na traczu i otoczyli gromadą Jaśka, który robił palcowe koło; tuż obok leżało wodne i trzy ostrugane walce.

— Co też to będzie, słyszycie? — spytał ciekawy Błażek.

— Gonciarnia — szepnął cicho Jasiek, podnosząc głowę.

— Niby co?

— Gonciarnia! — powtórzył głośniej.

— Ja wiem, ale co to?

— Ujrzycie...

— To, wicie, będzie taki mały traczek — objaśniał Szczypta, który zawdy rad był uchodzić za mą-

drego—tu piłka, tam wodne koło, a teraz robi palcowe... Nie widzicie?

— Dyc widzę.

— No to o cóż się pytacie?

Każdy udawał, że rozumie, choć nie wiedział, co to ma być.

Piła na traczu ochliła drzewo zawzięcie i wyrzucała trociny na deski. Sobek, który co dopiero wyszedł z izby, zgarnował je kerpcami.

— Michał, do piły! bo dochodzi... — zawołał w stronę chłopów. Poruszyli się wszyscy. Michał z Jantkiem zastawiali wodę, Romek obracał korbę. Zasadzili piłę po nową deskę, i zgrzyt puszczonego w ruch tracza rozległ się na nowo. Jedni wrócili do Jaśka, drudzy otoczyli półkołem watrę, ułożoną przy traczu.

— On ta, rzekę, cosi wymani, jak i Jasiék... — podjął ten od Zapały.

— Hej!

— Wyduma, wyštuderuje i zrobi.

— Zwyczajnie, chłop przemyśny...

— Talant ma, bo ma. Nikt mu nie zaprzeczy. Ino z ludźmi niemrawy, niepojęty.

— To, to! Z nim, rzekę, wiele nie nagada...

— O nie!

— Taki dumac.

— E wykopaliście - ta? — zapytał Jędrka Szczypta.

— Dyc, rzekę, mogłyby już wykopać, jak i baby, kieby się były ze lnem uwijały. Bo czas był, wicie, dobry. Ale tak, rzekę, schodzi to z tem, to z owem.

Powiadam babie: Chyć-że się, rzekę, wartko, nie odkładaj... Ale baby, jak baby.

— Nie spieszy się im...

— Nie. Ona, rzekę, woli śwarniać po izbie, koło pieca, a robota niech czeka. Nie zając, powiada, to nie ucieknie.

— Tak zawdy. Dyc i moja...

— Michał, do piły! bo dochodzi — zawołał Sobek.

Satrowie poskoczyli żwawo — przy wiatrze chłopci grzali się dokoła, siedząc na grubych tramach. Kozera tylko plątał się bez ustanku, zazierał na Jaśka, to znów powracał do wiatry. Piekło go cośi wewnątrz na sumieniu — szukał, komuby się mógł zwierzyć. Znalazł przecie.

Przy pile, na tramiku, oberzniętym dokoła, siedział Sobek samotny, bił kerpce o podłogę i gwizdał jakąś nutę. Mało go obchodzili zebrani chłopci. Widywał ich tu codzień; znał ich wszystkich, oni go jeszcze lepiej. Kołysał się i gwizdał, czasem dla większej fantazji przyklął sobie siarczyście.

Do niego to przytoczył się Kozera cierpiący.

— Tak mnie, Sobuś, tak mnie to nadeszło...

— Mówcie głośniej, bo piła!

Zgrzyt przyduszony tłumiał gwarę i wchłaniał ostre słowa.

— Niech cie Bóg broni, Sobuś, niech cie Bóg zachowa!

— Od czego?

— Ja ci powiem, ino mię słuchaj uważnie. Rano

było... Ty już wiesz, co ja rano robię. U mnie pacierz i chwała Boska przedewszystkiem. Juści ta mówię ten pacierz i mówię — a tu mi cosi szepce: „Kozera, podź do żyda! Kozera, podź do żyda!” Co to jest? — myślę sobie — czy mnie djabeł kusi, czy co? Ale nic — mówię dalej... Ojczy nasz... Zdrowaś... Wierzę... A tu jak mnie szarpnie cosi za ramię, jak mi wrzaśnie nad uchem: „Kozera, podź do żyda!” Tak coż było robić? Zebrałem się i idę... idę, — a ciągiem czuję, jak mie cosi popędza, popędza... No i przyszedłem do Zyśła. Jak-ech przyszedł...

— Michał! do piły! bo dochodzi... — wrzasnął Sobek.

— Jakech przyszedł, takech ci ta i ostał... od rana do południa, od południa do wieczora. Naschodziło się chłopów! Był i Kanty i Luberda i Grela, było tego sporo. Pijemy ta, pijemy, a czas leci, nie stoi... Juścį ja kazuje półkwaterek, Grela też; znalazł się przy nas i kumotr z nad miedze i ktoś jeszcze... dość, że nas było mocki. Popiliśmy się święcie, jak się patrzy... Słuchajże! bo to jeszcze nie koniec... Tak ci przeszedł i wieczór i noc nadeszła niezadługo. Wszyscy się potracili, ka mogli — ja ostał sam... Co tu robić? E, myślę se, pódę na wólę Boską! Przecie chałupa nie preciki, to i dojdę... Ale mnie cosi wstrzymowało... Nie pytałem już przecie na nic i poszedłem. Juści idę i idę prostą drogą, jak się patrzy... dyć zajdę! Naraz — jak mnie cosi zajęło, jak mnie zaczęło wodzić!... Zwodziło mnie wszędy: woda nie woda, miedza nie miedza... wodziło i wodziło do samego rana. Co ja sie ra-

zy zamoczył, z kielu ja brzegów spadł, to ani, ani!... zeżyjesz świat, a nie uwierzysz. Ino, jakby ciebie samego kiedy tak zajęło, czego Boże broń, zachowaj! Matko Najświętsza!.. Dopiero ci rano przyszedł do siebie, jak się już dobrze rozwidniło... i wiesz, kanych sie znalazł?... Hań — na Zapałowym brzysku — w tych jamach!... Tam mnie już opuściło, toż toch sie osatał i wrócił do chałupy... Nie wierzysz mi? Przypatrz sie! — wyciągnął nogę — nowiutkie kerpce kupilech na jarmaku, toch ci je zdołach doznaku zedrzeć... za jedną noc!

— Michał, do piły! bo już doszła... krzyknął Sobek, zastawiając wodę.

— Tak ci padam, mój Sobuś, nie wierz nic, choćby ci gadało, nie wiem co! Choćby cie szarpało ze wszystkich stron!... Bo to kusiciel krotny, nic więcej. Juzech sie zaprzysiągł: Nie pódę, ani razu do karczmy, choćby mie w gardle piekło. Nie pódę — wolę skonać... Tak Sobuś...

— Bedzie karczma próźniejsza!

— I ty nie chodź, radzę ci... Usłuchnij mnie starego! Bedziesz widział, że mi podziękujesz! Bo to piekło. Obraza Boska! Nic więcej... Tak, tak Sobuś — zakrztusił się Kozera i poszedł wolno ku watrze.

— Filut stary! — zamruczał Sobek — widuje mnie u Zyśla i boi sie o dziewczkę... Myśli pokraka, że ją haw mam w głowie... Już, zaraz! Trza ci zięcia! Zjesz ty djablów trzysta...

Przy watrze gwarno było. Błażek cuda naopowiadał o świecie.

— Rozmaite światy są... roz-ma-i-to!

— Dyc każdy wie o tem, nie ino wy...

— Ja, rzekę, nika nie był — podjął Jędrak —
a ni mam sie za głupiego...

— Wyręczą was w tem ludzie... dajcie spokój —
pokpiwał z niego Szczypta.

A Błażek stracił miarę zwykłą i opowiadał dalej.

— Szliśmy wtedy z pod Rusa i zatrzymaliśmy sie
pod Krakowem. Ładne miasto, przystojne!... ni ma co
rzec. Jest co widzieć, ino żeby był czas po temu... Są
tam wieże dwie, strasnie okropczne!... Strach hań
wyrzec. A na wieżach onych patrol stoi i trąbi bez
cały dzień...

— Niby na co?

— Ja nie wiem. Tak muszą mieć nakazane.

— Bajecie!

— No dy idźcie, ujrzycie, czy wam bajtki gadam...
Narodu mocki w Krakowie! — ciągnął dalej. — Jedni
spacerują, drudzy po kościołach siedzą, nic nie robią,
tak żyją.

— A tu człek... Panie ratuj!

— Padam wam, że jest co widzieć.

— Pono rynek jest taki, jak we Mszany?

— Ho, ho, ho! Ani przytykać!... Tam na rynku
trzy kościoły stoją i jest jeszcze telo placu, żeby sto
reimentów wojska mógł ustawić...

— Co gadacie?

— Świętą prawdę!... Drzewiej były ino dwa koś-
cioły, ale jak sie pokazało morskie oko...

— Kany?

— W Krakowie, na rynku! Dyć wam gadam. Wybuchła zwyczajnie woda... i zalałaby całe miasto kieby nie ratowali. Toż to pierzynami, spyrkami zatykali...

— Nie trza było wiewa! — zadrwił Sobek.—Wasz ozór wsadzić, toby zatkał...

— Toż to — kończył Błażek, nie zważając na drwiny — zatkali doznaku i postawili kościół na tem miejscu...

— I już sie więcy nie pokazało?

— Nie.

— Zamknęło sie!

— Padają, że Morskie Oko w Tatrach, to drugie od tamtego...

— Może i to być!

— Rycerze jadą! — zaśmiali się chłopci.

Z uliczki, ogrodzonej krzaskami, wyszły naprzód siwe woły, za nimi fura z drzewem, koło niej dwóch parobczaków.

Byli to oba Smreczaki, jak smreki rozrośli; a że każdy z nich dźwignie odziomka na koła, temu ich Rycerzami zowią. Nikt im z Koninek nie dostoi, chyba Sobek... ale i to z wielką biedą!

Wjechali na plac między drzewa, lekko złożyli tramy na ziemię i otarli rękawem pot z czoła. Przybliżyli się na tracz. Woły zostały same.

— Rychło ta dorzniecicie? — spytał jeden, przechylając się ku pile, jak topola, wiatrem pochylona.

— Dyć zelżyjcie! — poprosił Romek. — Nie zejdzie nam już długo...

— Do zimy, abo kto wiew! — przywarł ich drugi.

— Ła Pana Boga! cóż to za chłopcy ci Satrowie! — zaśmiał się starszy, Wawrzek. — Wożą, rzną i sprzedają, nikomu się nie dadzą używić... Pedziałybyś, że gazdowie, abo co, a to ino dzieci swojej matki...

— A ty kto? — krzyknął Romek, najstarszy.

— Wawrzek. Nie wiesz, żeś mnie do chrztu trzymał?

Przy wotrze chłopcy wybuchnęli śmiechem.

Przy nich stanęli Smreczaki, grzali ręce i dogadywali trzem Satrom.

— Żeń się Michał! Obłap matkę niziutko za kolana i proś...

— Mnie proś, mnie! — śmiał się młodszy. — Ja ci się przysłużę... Naraję ci taką dziopę rzetelną, że twoja matusia wnet będzie babką, już w pół roku po twojem weselu... Wierz mi!

A tak się chłopcy żeńcie, coby jeden drugiemu starostował!...

Śmiech chłopów dolatywał na tracz i ginął w hałasie wielkim i huk.

Satrowie przemilczeli kpiny. Złość swoją na robocie odbijali: furczały ino deski w powietrzu, jak je od piły odrzucali. Świst piły przedrzeźniał im, wodne koło przygłuszało hałasy i chlupotało jednostajnie, miarowo.

Jasiek strugał wciąż drewniane palce do koła, przymierzał i medytował, nie zważając, co się koło niego dzieje.

Przy wotrze grzali się chłopcy i zabijali czas pogadanką.

— Niech ta. Satrowie zerkną, to sie i nam dostanie — mówili ci, co mieli tramy, czekając cierpliwie na swoją kolej. — Dyc trudno mają rznąć do samej zimy?

Kozera, dołapiwszy Smreczaków, począł im opowiadać od pacierza, jak go szarpało cosi i uwiedło...

Błażek przedzierzgnął się naraz w zawołanego strategika i snuł przed oczyma zdziwionych chłopów roz-ma-i-te plany.

— Abo wojna bedzie, abo nie bedzie... — zaczął zwykle.

Tak zaczął i tym razem.

Milczeli—więc przepołowił zdanie i stanął równo silnie po obu stronach. Dwoistość jego sądu otumaniła chłopów, i nie zdali sobie sprawy, jak szybko skończył spór ze sobą, stojącym po tamtej stronie, że się naraz oba Błażki naleźli razem.

— Musi być wojna! — zakończył z przeświadczeniem.

— Ja, rzekę, nie wiem — dodał Jędrek — ale dobrego nic nie bedzie...

— Prusak sie zbroi — ciągnął Błażek — Francuz gotowy, ino czeka. Italijan też pódzie, bo jakże? Skoro zaczną, to wszyscy razem... Ale sie jeden na drugiego obziera i temu im tak niesporo.

— Nie wierzą se...

— Janglik patrzy z za morza i słuca... nasłuchuje... On ta mądry, nie bójcie sie! Czeka, jaże sie mu co zwartnie. I tak, skoro sie wszyscy zewrą do kupy...

— Koniec świata!

— Niechże też Bóg zachował! — zaprzeczyli inni.

— Trudno! My nie rządźmy światem...

— Nad nami stoją insi.

— Hej!

Przerwali. Krzyk się rozległ. Pomiedzy chłopów wpadł zdyszany Wojtek. Ale niedługo tu popasał. Za nim biegł ojciec z paskiem rozpasanym i wywijał nim w powietrzu.

— Trzymaj hycła!

Zapóźno! Wojtek w mig przesadził tracz, chybnął przez wodę i oparł się na drugiej stronie roztoki.

„Kazali mi na maliny —

A ja za piec do Maryny”...

Hop! Hop!

Zaśpiewał ojcu, obertnął się dwa razy na pięcie i pobiegł ku Margoścynie chałupie.

— Przydziesz mi ty tu!... — pomyślał za nim ojciec i zatrzymał się przy chłopach. — Takie mam z niego skrzepienie! W izbie nie przyjrzy, nie pomoże kielo telo, ino wsze cosi kasi dłubie... Zmajstrował mu Jasiak skrzypce, juści rzempoli mi po za uszy i rzempoli... Ja też wziął skrzypce i spalił. Myślę se: ustatkuje sie... coby! Wycyganił nowe od kogosi i z tem rna całą robotę... wisus! Nawet sie wybić nie da, bo cie sie wyrwie z gości i ucieknie... Huncfot zatracony!

— Na ojca sie podał — pomyśleli se chłopci.

Zabrał się od nich i poszedł za izbę do bab, kopiących ziemniaki; ale nie długo bawił przy kopaniu. Jeszcze mu się zółć nie ustała... Wojtek się wymknął... Szukał, na kogoby ją wylać. Z pola dojrzał kobietę, która wchodziła pod tracz...

— Aha! Tuś mi dziadówko! — mruknał zcicha i w jednej chwili był na traczy.

— Kto tam wlaź? — spytał Sobka.

— Dyć pono Margośka...

— Po co ona tu łązi?

— Po trociny...

— Słysz ty! — krzyczał, nachylony ku pile. — Wynoś mi sie stąd zaraz! Bo jak pójdę, to ci kości poprzetracam! Rozumiesz, co ci gadam?!

— Nie brońcież, niech se weźnie — wmieszali się chłopi — dyć trociny, nie mąka...

— Juści! Na dziadów będę robił? Na komorników?

— Słyszysz? — krzyknął schylony. — Wara mi stąd, z pod tracza, bo jak zejdem...

— Już idę! Nie bójcie sie! — zadudniło z pod ziemi, i wnet wysunęła się kobiecina nizka, okryta szarą płachtą i szła po ławie, płaczący, za wodę...

— Bóg was skarze, gazdusiu... — doleciało ku pile.

— Zdechnij suko! Skap! Zmarnij! — krzyczał Chyba. — Odemnie patyka nie weźmiesz...

— Nie proszę! — przyleciało z za wody.

— Choćbyś i skuczała, to ci nie dam!

— Nie proszę...

— Komornicy! Tfu! Dziady!... — splunął na bok i zwrócił się do chłopów. — Przyjmij to na swój zagon, toci sie tak odpłaci! Słyszeliście, co mi odpowiedziała, że mnie nie prosi!... Zjesz ty diabła beze mnie, krotny dziadu! Padam jej: Przyślijże mi Józka do roboty... „Nie! Zapłać pierwej, to przyślę!“... O, czekajże se ty! To, myślę, na moim gruncie siedzisz, a nie pomożesz, nie pošlesz do roboty? Zjesz ty kopę diablów, jak nie więcy... Ja najemnika upytam i zrobi mi, a bez ciebie sie pięknie obejdę... Tak wej. Przyjmij dziadów na komorę, toby wnet tobą rządzili... O ho, ho, ho. Pomaluśku!...

Wygadał się, wygadał, posiedział na chwilę przy chłopach i jankor go opuścił. Tak zawdy. Pierwsza złość musiała się końcem na kim skrupić, potem był już chłop walny i do rzeczy.

— Kto hań to rznie? — spytał Sobka.

— Satrowie...

— Dużo mają?

— Pięć kóp desek.

— Ehm... — liczył po cichu. — Cztery centy od deski... Do młyna nikt nie przyniósł?

— Nikt...

— Ta ku zimie, to się tu posypią...

— Któż wie...

— Co ta robicie w chałupie? — spytał Błazek starego.

— Nic nie robię. Schodzi tak zawdy... cosi...

Patrzył na Jaśka i myślał cicho: „Dumaj! choćby do sądnego dnia“...

— Co on robi?

— Gonciarnię! — zaśmiał się Sobek.

— Dyć niech robi.

Siedzieli długo przy wiatrze i gwarzyli. O komornikach zabaczyli do krzty... „Cóż ta o to! Z Chybą warto pogadać, bo człek walny i piniężny do tego: tracznemu i młynarzowi sama woda piniądze niesie“ — mówią ludzie, więc nie dziw, że mu biedni chałupnicy zazdroszą tego, że przy wodzie siedzi.

III

Siedziała i Margośka przy wodzie i nie dorobiła się niczego. Jaka bieda była — taka i dosiela. Gorsza nawet, bo gorsza. Póki nieboszczyk Szymek żył, to się oganiali jak mogli. Zapobiegliwy on był (Panie świeć mu wiekuiście!) i nie ciężał se pracy. Próznia-kowi przecie nie oddałby był nieboszczyk Chyba placu na chałupę — bo za co?... Skrzepił on go rzetelnie, jak i nieboszczyk. Ożenił go, juści drzewa dał na izbę, na pokrycie kopę gontów i desek... Niemało mu dopomógł. Ale też i Szymek zasłużył na to, Bóg świadkiem. Sześć lat służył uczciwie, a skoro się ożenił, to i roku nie było, żeby nie pomógł w polu... Darmo! Już on więcej nie wstanie, nie pójdzie, nie pomoże... „Bo też i nie ma komu!” — mówił Józek. Prawdę mówi. Nie ten to, nie ten Chyba!... Ani w palcu podobny do ojca! Insi ludzie, odmieńce... A zresztą nie obowiązani są przecie. Ociec dał, ociec pomógł — to też robili ojcu i nie ciążyli se nigdy przegniły! Ale syn taki harny — to niechże se upyta! Chciałby tanio, zadarmo — a tu przecie człek nie pies, coby musiał...

Mój Boże! Dyć już pańszczyzna dawno przeszła... Życ trzeba, no i myśleć, skąd wziąć na to życie... a tu skąd? Gruntu niema, ani odrobiny, to trza szukać zarobku... i róbże tu za darmo? Dziwny ten Chyba! Józek nieborak dzień po dniu przy fernalach... Bóg łaskaw, że choć tyle zarobi, bo czemu by one żyły?... U Banacha dostały zagon pod ziemniaki, to ukopały dwa korce i miarkę. Grochu też zebrały coś garniec, szczyptę ziarna — i tyle dobytku na całą zimę, aż do wiosny... Na to ich troje w chałupie: matka, Józek i Zosia. Jak się tu ograć tej biedzie i nie dać jej przystępu? — Naprózno matka łamie sobie głowę... — Nie poradysz! Ale dyć wola Boska na wszystko!... — powtarza sobie często i dodaje odwagi.

Przeszłej zimy też ich przywarła ta bieda, ale nie doznaku. Robotę mieli, chwała Bogu: matka przędła len, wełnę. Józek chodził na młockę i zarobili na jadło... A jak roboty nie dostaną? — Margośka bała się o tem myśleć. Cóżby oni biedni poczęli? Sprzedać niema co. Pierzynę zjadł przednowek, a łachy ladajackie — nikt nie kupi... Sprzętów nie ma nijakich... Dwie ławy, stołki dwa większe i jeden mniejszy, na którym teraz siedzi, oskrobując ziemniaki zepsute i rzucając na miskę.

Zosia jej pomaga na klęczku, dziewczę jasnowłose, wychudłe, mało co młodsze od Wojtka Chybowego. Umie ono już robić niemało, matkę w czem tem wyręczy, choć takie młode. Mądre to za trzech ludzi, a na matkę nic nie da powiedzieć!... Wojtka strasznie lubi,

od dawna. Bawiła się z nim od maluśka i pasła kozy przy jego bydle. Tego lata nie pasła, bo Chyba im paść nie dał. Po urwiskach musiała sama pasać. Cnęło się jej okrutnie, nie miała z kim figlować po ugorach... Wojtkowi rada była, choć jej nieraz na despet robił, jak chłopczyska! Umiał za to grać pięknie i grywał jej przy bydle, ładnie grywał!... Zbeczała się za niego, jak mu ojciec potrzaskał pierwsze skrzypce. Za to później przylatywał do nich wieczorami i grał im w izbie... Matusia zawsze radzi go widzieli, choć i skrzypiec nie przyniósł ze sobą. Bo chłopak był dość walny—jak mawiała—ino swyrtak. Ale on ta wyrośnie.

— Kie wyrośnie? — spytała raz ciekawie matki.

— Jak bedzi teli! — pokazała do słupa.

Zośka zapamiętała sobie, pokąd matka naznaczyła i, skoro Wojtek przyszedł, kazała mu stanąć przy słupie.

— Niby na co?

— Nie pytaj się, ba stanij!

Usłuchnął jej, a ona węglem zrobiła kreskę nad włosami.

— Jeszcze ci daleko do hańtela! — pomyślała sobie i sama się zmierzyła przy słupie.

Mało co była niższą, ale dużo niższą... Odtąd mierzyli się prawie codzień. Kreski się podnosiły nieznacznie, jak wskazówki na zegarze.

— Tyś teli, a ja tela! — pokazywała z radością i śmiali się oboje, aż dudniło w niskiej, okopconej izdebce.

Dziś Wojtek nie miał ochoty do śmiechu. Poskur-

czał się na ławie, wystawił bosc nogi na nalepę i grzał je przy ogniu. Patyki trzaskały koło garnków, dym ciężki walił się na izbę i uchodził półotwartemi drzwiami do sieni.

— Wojtek, zmierzmy się! — skoczyła Zośka do słupa i kusiła oczami.

— Nie mam czasu... ziąb!

— Zmarzluch!

Niechętna wróciła do skrobania.

— Będiesz mnie ty prosił drugi raz... czekaj!

— Skrob wartko! — naganiała ją matka, a chwilami myślała: — Czy on też prędko wróci? Dzień cały bez obiadu...

Myślała o Józku, o swym synie, który poszedł, jak codzień do fornali. Zjadł na rano ziemniaków parę i robi tak cały dzień o głodzie... Biedne chłopczyisko! Nie zje, nie wyśpi się do woli, ino idzie, wciąż idzie i zarabia co zdole... Weźmie i tak piniądz kieli teli... Dyc żeby nie on — mocny Boże!

Wtała, pozbierała łupiny do zapaski i wyniosła do sieni. Będą miały kozy uciechę!

— Przysstrójno Zosiu tarło! — rzekła, wchodząc do izby.

Zosia poskoczyła do ściany, zdjęła z gwoździa tarło i przyniosła je matce. Ta tymczasem wyjęła z półki drugą miskę, postawiła na ławie i siadła przy niej. Tarło oparła o dno miski, brała po jednym ziemniaki oskrobane i rozcierała na tarle.

— Będą kluski ziemniaczane! Będą kluski ziemniaczane! — śpiewała Zosia, klaszcząc w dłonie i z

wielką uciechą podrygiwała bosemi nożętami przed Wojtkiem.

— U nas co dzień są... a nie jem! — mruknął Wojtek.

— Aleś u nas jadł!

— To u was!

Margośka wnet uwinęła się z tarcie. Wzięła czystą szmatę, rozłożyła ją nad prózną miską, stawiając obok mniejszą. Następnie ujmowała ziemniaki w ciasto i dalej gniotła do ostatka. Po ukończeniu złała starte i gniotła w szmacie nad miską. Odkładała suche wodę z miski, na dnie której stężał biały, krochmalowy osad. Pomieszała go z ciastem i udała się z miską ku nalepie. Tu odstawiła garnek, odlała trochę wrzącej wody i rzucała do garnka gniecione w palcach gałki... Wojtek usunął z kąta nogi i razem ze Zośką przypatrywał się ciekawie szybkim czynnościom matki.

A ona, robiąc kluski, myślała dalej o swym Józku.

— Nie widać go... tak późno. Czy mu sie też co nie stało — Boże uchwaj! O tym czasie przychodzi... Przyłóżno Zosiu patyków na ogień!... Noc ciemna — oko wykol... a on zawdy ze siekierą... Czy sie też nie pośliznął kany, abo co... Matko cudowna, ochroń!... Nie wyciągaj rąk Zośka, bo sie oparzysz!...

W te razy zadudniło przed sienią.

— Idzie, idzie! Chwała Bogu...

Odstawiła miskę, przysunęła garnek bliżej ognia i usiadła w kącie na ławie.

Do izby wszedł chłopak wysmukły, jak tyka.

— Jest wieczerza? — zawołał od progu.

— O jest, jest! — odpowiedziała uradowana matka. — Ino ciebie tak długo nie widać...

— Cóż chcecie, nie próżnuję!

— Dyc wiem, moje dziecko, ale sie boję o ciebie.

— Nie ma o co!

— Tak nie gadaj, Józus! Ino Pana Boga pros, zeby cię zachował...

Włożył ciupagę za siekiernicę i usiadł na ławie. Matka cedziła kluski nad cebrzykiem. Zośka i Wojtek przybliżyli się z obu stron do Józka. Nie widzieli go cały dzień, a bardzo mu byli radzi oboje.

— Powiem ci cosi... — szepnęła Zosia.

— No?

— Będą kluski na wieczere!... — szepnęła ci-chutko.

— Oj, ty, ty!

— Coś ta widział? — zagadnął Wojtek.

— Takich, jak ty, próżniaków.

— Kany?

— Wszędy ich pełno. Masz skrzypce?

— Nie mam.

— Czemu?

— Bom nie zdołał dopaść, jak mnie tatuś gonili.

— Gonili cie?

— A jakże! Codzień mają ze mną taką uwijackę...

Matka wysypała kluski na miskę i wlała do nich słodkiego mleka.

— Pódcie! Siadajcie! — prosiła, wyjmując łyżki z za łyżnika.

Przybliżyli się. Zośka pierwsza. Józek się przeżegnał styliskiem i usiadł z kraju. Wojtek ostawał naostatku.

— Póddże i ty Wojtuś! Nie cofaj sie.

— Jedzcie!... ja nie będę...

— Dzisz ty! O głodzie pódziesz spać? — zgromiła Margośka. — Siadaj zaraz!...

Wojtek siadł, nie dał się długo prosić. Jedli jakiś czas w milczeniu. Matka z miłością spoglądała na Józka.

— Zmordowanyś?

— Ba! co myślicie? Od rana...

— Jakżeci sie ta wiedło?

— E tak ta, nie najgorzy... Jeździliśmy pod Tróbacz, ku samemu wirchu. Droga zła, Bóg bronil...

— Rychło zwiezą?

— Do zimy, bo to już ostatki...

— Ogołocili te góry do znaku.

— Ba! Dyc hrabiowie tak gazdują.

— Mój Boże!

— I patyk suchy nie ostanie — żydy zabierają...

— I palić czem nie bedzie...

— Kto sie ta o to pyta!

— Blizko niema nikany... Nawet ściele nie uzgarnuje. Ja sie tróbuje, czem będę ścielić bez zime tym koziętom. Poszłach hań na tracz — myślę se: wezmę trocin...

— Po co tam chodzicie? — mruknał Józek.

— Dyć słuchaj... Wezmę, rzekę, do paruchy¹⁾), będzie ta raz kiela czas podrzucić... Coby! zastąpił mi na traczu...

— Kto?

— Chyba stary, jak i Wojtków ociec...

— I nie dał?

— Juści nie dał. Skunirował mnie, spsioczył i odeszłach z niczem...

— Stary wilk! — mruknął Józek i położył łyżkę.

— Jedzże jeszcze!

— Nie będę... Niech on se pamięta, że do czasu uchodzi štuka! Okpiś, djable rokitol...

— Tak, tak... Pedział, że nas wyrzuci, że...

— Niechże sie miarkuje! Bo i na niego kolej przydzie... bogacz!

Przewrócił stołek i usiadł ciężko pod oknem na ławie.

— Ale ty Wojtuś zaś ojcu nie mów, że my tu o nim gadamy... — ostrzegęła Margośka.

— Nie bójcie sie! — odparł z fantazją. — Choćbych i mówił, to mi nie uwierzą...

— Czemuż nie jesz?

— Nie będę... Znowu by mi spać nie dało...

— Co?

— Jak se więcy powieczeram, to mie siodło dusi.

— Bogacz przeklęty! Sknyra! — mrucał Józek pod oknem.

¹⁾ Parucha — gruba, lniana płachta.

Matka pomyśla łyżki na misce i pomyje zlała do cebrzyka.

— Pójdziemy spać. Ty Wojtuś kanyż bedziesz leżał?

— Ja? Katędy...

— To ostań. Legniesz z Józkiem, abo i ze Zoską. A jak nie — to ci na ławie pościelę i wypisz sie.

— Ale nie, chresna matko! Ja pódę i wlażę do szopy za boiskiem. Rano mie nie najdą zawczasu, to sie wyśpię...

Mówiąc to, obłapił „chresną matkę“ za nogi i wybiegł.

— A jutro przydę ze skrzypcami — zawołał ze sieni.

— Przydź! — wybiegła za nim Zośka. — Ino se nie zabacz!

— Nie zabaczę! — leciało od wody.

— Zośka, pacierz zmów i legaj — zawołała matka. — A ty Józus ozobuj sie, bo już czas...

— Jutro święto — rzekł Józek.

— To trza do kościoła...

— Któż pódzie?

— Ty mozesz iść na sumę... Jaby szła, ale ni mam co odziać...

— Ja pódę, ja! — prosiła Zosia.

— Ty mów pacierz! Słyszalaś?

Za chwilę wszyscy troje spali snem kamiennym.

Nazajutrz zrana ześniadali, co mogli, i po długich ceregielach przystało każde na to, co matka radziła.

Zośka pognała kozy do cierniaków, matka gwoiłi braku odzienia została w chałupie, a Józek się zbierał na sumę.

— Zwijaj sie wartko, bo czas leci! — napierała matka. — Grzech nie zastać kazania w kościele.

Obuł kerpce, wdział białe, sukniane portki.

— Dejcież mi koszulę! — zawołał.

Podawała mu z kołka upraną, świeżą, wywałkowaną należycie. Włożył i odział na nią serdaczek biały bez rękawów, na ramionach zawiesił chazukę¹⁾.

— No, już idę!

— Nie baw sie po drodze i nie siedź długo... a zmów ta pacierz i za mnie! — dodała, gdy wychodził ze sieni.

Pomyła miski od śniadania, zamietła glinianą podłogę i usiadła pod oknem na ławie. Siedziała chwilę długą, pogrążona w cichej medytacji i drzemać jej się zachciało. Wstała przeto, wzięła różaniec i poszła przed sień na pole. Tu siadła na wysokim progu, twarzą zwrócona ku wodzie.

Przeżegnała się potem i zaczęła szeptać pierwszą cząstkę różańca. Szeptwała pamięciowo, bez przerwy, a myśli jej leciały przez głowę, coraz to insze... Widzi: ludzie idą na dół poza wodę... idą na sumę do kościoła, z bliższa, z dalsza i zewsząd idą... Poszłaby i ona razem z nimi pokłonić się Matce Najświętszej... Trudna rada. Niema co odziać... niema... a w potarganych łach-

¹⁾ Chazuka — czarna sukmana z owczej wełny, wyszywana czerwoną i niebieską włóczką.

manach, to nie honor Panu Bogu i grzech przecie nie mały... Możeby ta Paniezus przyjął i nie odrzucił, ale gorsi ludziska, gorsi... Śmiechy, kpiny...

— Zdrowaś Marja, łaskiś pełna... — powtórzyła głośniejsze, oganiając się gwałtem cisnącym się myślom.

Ludzie przyszli już na dół, i nie widać za nimi żywej duszy... Gwara znikąd nie leci, tak cichutko!... Ino woda bulkocze po kamieniach, pieni się i huczy... Nie spocznie, nie ucichnie, ino wre bezustanku, wciąż... Skąd jej się tam tyle nabrało? — myśli sobie.

— Co noc, co dzień, bez przerwy... jedna fala i druga i trzecia... bezustanku. Płynie se ta do morza po nizinach... Mój Boże! Jaks Ty to przedziwnie urządził... telo świata! i cudów telo na tym świecie...

— W Imię Ojca i Syna... — żegnała się już coś dziesiąty raz, chcąc odegnać nieproszone myśli.

Same lecą przez głowę, jak rój trzmieli. Mówi, mówi... rachuje paciorki — a przed nią woda huczy na potoku... Szum dolata, kołysze, pacierz maści, powraca i ginie... tak szumi wszystko dokoła... tak lecą fale opętane... Mój Boże — myśli sobie. — Płynie se woda wartko do morza, płynie... Ucieka życie, ucieka... Czas leci — dzień po dniu, rok po roku mija... Czas leci i dogania, dogania, dogania...

Usnęła przy ostatniej części różańca.

Józek tymczasem doszedł do kościoła. Sygnowali już na sumę, kiedy był u fabryki. Nie czekał na wypłatę, ino poszedł; bał się nie zastać kazania... Ale

i tak się spóźnił, bo kazanie się już kończyło, kiedy wchodził do furtki kościelnego cmentarza.

Narodu zebrało się moc, jak zwyczajnie w dzień ładny. Kościół mały, drewniany, nie mógł pomieścić wewnątrz zgromadzonych: Koninczan i Porębian i moc innych narodów. Oblegli ławą kościół, a ksiądz musiał kazanie prawić na polu, bo w kościele zaduch straszny i gorący...

Józek stanął przy furtce i nie pchał się dalej. Usłyszy i stąd, bo ksiądz prawi dobitnie i głośno. Stary Chyba znalazł się przypadkiem naprzeciw niego... ale cóż robić? Cofnąć się nieurada, bo ciżba...

— Niechże już stoi na wolę Boską. Ja sie tu z nim kłócić nie będę... — uspokoił się Józek i słuchał kazania.

— Tak moi mili — mówił ksiądz, nawiązując do przeczytanej ewangelji o bogaczu i biednym Łazarzu — tak moi mili bracia w Chrystusie i siostry! Przypowieść ta poucza nas, jak mamy obchodzić się z biednymi sierotami. Kto ma więcej, ten winien podzielić się z biedakem...

— Czy on też słucha? — myślał Józek, pozierając ukradkiem na Chybę.

— Winien dać żebrakowi jałmużnę! Nie poniewierać sług, najemników! Bo za to wszystko Pan Bóg karze. Słyszeliście, jak poniżył bogacza, a Łazarza wziął na łono Abrahama. Tak się i z wami stanie, wy bogacze, co nie macie serca dla bliźnich swoich!...

— Słucha — mruknął Józek — niech słucha, bogacz krotny!

— Zdacie wy kiedyś rachunek przed Panem z liczby dni włodarstwa swego! A zaprawdę powiadam wam: Prędzej wielbłąd przejdzie przez ucho igielne, niżli bogacz do królestwa niebieskiego...

— Widzisz hyclu! — pomyślał Józek, pozierając na Chybę.

— Ale i biedni — kończył ksiądz — niech nie zazdrozczą bogaczom, ani dufają w ubóstwo swoje, bo przed panem pierwszeństwo mają ubodzy w duchu, ci, co się nie pyszną majątkiem swym, ale w cichości serca swego mówią: „Panie! Tyś dał — Ty możesz wziąć... Niech się dzieje święta wola Twoja...” Amen.

Chyba odetchnął... On przecie zawdy był ubogim na duchu i nie wystawnym, broń Boże! Woli Bożej polecał wszystko. A że mu zazdrościli, to nie jego wina, ba ich — — tych dziadów, komorników!... Naprał im ksiądz w uszy niemało... Ino, czy było które z nich w kościele? — myślał, oglądając się, bo Józka nie dojrzał.

Lud rozstąpił się przed księdzem, który, odczytawszy wypominki zwykłe, szedł ubierać się na sumę.

Niezadługo zazberczał dzwonek w zakrystji i organy zahuczały w kościele... Lud się poruszył. Jedni do kościoła ciśli się, by księdza mieć przed oczami, drudzy poklękli na trawniku kościelnym i pozwieszali na dół głowy, jednako ofiarując swe troski Panu Bogu — bogacze i biedni...

Po skończeniu sumy młodzież pierwsza opuszczała kościół i rozpraszała się gromadami po rynku.

Wyszedł i Józek za innymi i medytował, co ma zrobić: iść do chałupy, czy też pogwarzyć z towarzyszami, albo i napić się przy okazji... Zwyciężyła druga myśl, tem bardziej, że nie miał po co śpieszyć się do domu. Na obiad? jaki tam obiad będzie!... Przykazała mu wprawdzie matka, żeby się nie bawił; ale dyć matka na to, żeby miał kto przykazować... Bo inaczej, kogóżby się nie słuchało?

Uspokoiwszy w ten sposób drażliwe nieco sumienie, przybliżył się do pierwszej gromady, obradującej w skupieniu. Byli to prawie sami młodzi i biedni synowie chałupników.

— Idzie Józek — ozwało się paru. — Może i on przystanie?

— Niby na co?

— Pójdź bliżej, to się dowiesz...

— Zabieramy się do świata...

— Na zarobek?

— Dyć nie na przejrzyisko! Pójdzie nas kielkoro: Staszek od Luberdy, Kielusiak, Leon... Może i ty pójdiesz z nami, to powiedz!

— A każ myślicie iść? — spytał Józek.

— Myślimy do Pesztu... A jak tam roboty nie dostaniemy, to i dalej!

— Pisali ze Siedmiogradzkie ziemie — podjął inny — że się im ta nie źle powodzi. Zarabiają po papierku...

— Ho, ho, ho!

— Dyć my tu nic nie wysiedzimy. Zje się to, co jest w chałupie i na przednowek kupuj, jak masz za

co! A tu roboty nie dostanie, bo kany? Panu Bogu by człek skały ze ziemi dostawał, żeby go żywił. Ale trudno opuszczać się na wolę Boską i czekać śmierci...

— Nieinaczej!

— Tam przecie zarobimy, choć na jadło. A da nam Pan Bóg zdrowie, to i do domu przyślemy kielo telo, jakiś grajcar, choć na sól... Zbier się Józek!

— Dyc dobrze... Ale cóż my tam w zimie bedziemy robić?

— Co sie pytasz! La ochotnego zawdy sie robota najdzie...

— Na zimę tu wracają...

— To leniwce, nie chłopcy! Boisz sie mrozu, czy co?

— Cobych sie bał! Dyc i tu w zimie nie będę siedział za piecem, ba ziąbnać muszę i szukać zarobku...

— Pokiela jest! A jak fabryka stanie, to co? Bedziesz zdychał z głodu i litował się nad swoją śmiercią?! Żebyś to jeszcze sam był, ale matka!... Co ona se poradzi?

Ostatni argument uderzył silnie w niezdecydowany umysł Józka, zaskoczony tak nagłą niespodziewaną propozycją.

— Co tu począć?...

— Pódz z nami! Nie zwłócz, nie odkładaj, bo to zawdy najgorzej...

— Musze sie matki poradzić.

— To sie poradź! Dy ci nikt nie broni...

Poczęli gadać o zarobkach, jakie ich czekają. Zdaowało się, że tam już wszystko przygotowane na ich przyjscie. Każdy weselił się złotemi nadziejami.

Nagadali się dowoli i słońce spadło za górę, a jeszcze stali kupą na niedźwiedzkim rynku. Wreszcie, ogadawszy sprawę ze wszystkich stron możliwych, poczęli się rozchodzić i tracić po jednemu.

— Pamiętajże, na wtorek! — zbaczyło paru Józkowi, gdy odchodził.

— Dyc będę widział!...— odrzekł głośno, zabierając się ku chałupie.

Mrok już zapadał na dolinach. Wirchy jeszcze płonęły czerwoną zorzą zachodu.

Drogą w Koninki szedł Józek dosyć rażno i medytował po cichu.

— Dobrze, bo dobrze... ale któż wie, co sie tam może trafić? Obce kraje, nieznanne... Gwara inaksza jakaś... A tu człek nie wezwyczajony po świecie... bo kaźby? Na odpust szedł najdalej do Ludźmierza, abo na jarmak do Rabki... i telo świata widział!... No, nie wiem — rzekł po chwili — coby też matusia pedzieli... Żalby im było samym ostać. Ani im kto dREW przynieść, ani gnatków uszczypać... No, aleć trudno, mam tak harować la niczego? I cencika nie złożę, nie zaoszczędzę... bo skąd? Dziś dostaniesz, dziś oddaj. A tu rcki lecą, czas pędzi... Dobrze, pokiela do fernali chodzę. A jak sie urwie i ten zarobek, co bedzie? Tambych zdołał zarobić i zaoszczędzić choć co... A tak! Nie wiem doznaku, co począć, co poradzić...

Droga się rozdzielała.

Jedna szła do poręby prosto, druga do Koninek, na lewo. Skręcił wolno i szedł zamyślony, tocząc walkę wewnętrzną.

— Jechać, abo nie jechać... Trudna rada!
Nagle przystanął na zakręcie.

Usłyszał śpiewy i wesołą muzykę. To w Zy-
ślowej karczynie, na pograniczu Koninek i Poręby, grali
i tańczyli.

Chciał iść dalej — i ruszył naprzód parę kro-
ków. Zczarowały go jednak skrzypce i przyciągnęły
śpiewki...

Zawrócił do karczmy.

IV

Zyśłowa karczma niemałą miała sławę w okolicy. Stała przy drodze na pograniczu dwóch wsi. Kto szedł lub jechał z jarmarku, czy z kościoła, musiał tu wstąpić i zagrzać się na drogę. Zysel lub Zyśłowa naprzemian we drzwiach stawali, wypatrując oczy na gości-niec. A kłaniali się tak nisko, że nie porada było mi-nąć... Na niedziele i święta muzykę zamawiali dla ucie-chy młodzieży z obu granicznych wsi. Schodziło się tu bractwo na tańce i pohulanki. Poza tem karczma ta miała znaczenie polityczne, społeczne i wiele innych znaczeń.

Tu obradowały często rady gminne z wójtami na czele, tu miewała długie posiedzenia miejscowa rada szkolna, tu się odbywały krwawe kampanie narodów okolicznych, tu wreszcie co noc wodziło „cosi” starego Kozere... Co główne — była miejscem tanich uciech i nie bardzo kosztownej rozrywki dla wszystkich. Wy-hasają się młodzi na sucho, zamietą żydowi podłogę, a starzy się napatrzą, zbaczując se, jak oni to za mło-du wojowali...

Siedzą w alkierzu i piją — sami porządni gospodarze. Nie brak i Złydaszyka, niby starego Chyby — zawdy on tu siaduje. Wójtowie oba koło niego i wielu setnych zagrodników. Poważną gwarę tu słyszeć i śmiechy, niezbyt krzykliwe.

W izbie szynkowej zato zgiełk panuje niesłychany. Gwar, kłótnie, krzyki, śmiechy — tworzą chaos jakiś dziki i nieludzkie nerwy zdają się tętnić w tym tłumie... Kocie wrzaski, bek sarniąt urywany, krótki, małpie głosy, pisk, kwik, ryk i ciche skowyty... ponadtem rżenie koni i huk spędzanego tabuna.

Lud się bawi!

— Waruj! Strzeż!!

Pędzi kołem z góry par dwadzieścia...

Ma jakąś piekielną harmonję ten zgiełk przeraźliwy. Czasami wrzaski cichną — wtedy słyszeć rytmiczne tupotanie, chrzęst podłogi i głośnie zawodzenie skrzypiec.

Sobek przoduje — Porębianie kryją się po kątach.

Urywane zdania wylatują z hałasu.

— Hażbieś!

— Dyc się nie pchaj!

— Bedziesz mie ty chciała?

— Ja nie wiem...

— Na bok dzieci! — woła Sobek, nawracając.

— Huś! huś!

Falują chusteczki, kołyszą się piórka na kapeluszach.

Przy szynkwasiu raczą się sąsiedzi.

— W ręce!

- Dej Boże!
- Na tę naszą biedę...
- Biedkę kochaną!
- Ale wy sie kumie na mnie nie markoćcie... bo u mnie tak!
- Dyć ja wiem...
- Jakech dobry, to dobry, a jak mnie napali, to trzasnę w łeb i kwita...
- Na bok dzieci! — woła Sobek, nawracając

„Potelaś mi miła była,
Pokielaś mnie nie zdradziła...”

Huś! huś!

Tańczy na przodku z Kozerową Hanką.

- Kożde bydlę mo swoją nacyją... — tłómaczy kumotr kumotrowi.
 - Ani my zdaleka, ani zblizka...
 - Przecie sie lubimy!
 - W ręce!
 - Dej Boże!
 - Na tę naszą biedę...
 - Biedkę kochaną!
- Ode drzwi runęli falą stojący w progu ludzie.
- Co tam?
 - Rycerze idą!
 - Dawać ich tu!
- Sobek zaśpiewał:

„Rycerze idą, rycerze jadą
Od Babiej Góry djabłą gromadą...”

Pomieszały się pary. Przez próg do izby chybnęli dwaj Smreczaki. Chazuki porzucali na ławę. Sobek się usunął. Nie chciał być drugim — przodować nie mógł... bo Rycerzel!

Starszy już tupie przed muzyką i zaczyna:

„Dejże Boże szczęście
Na pierwszy początek —
Jeszcze nie tańcował
Od Zielonych Świątek...”

I rusza z góry, jak pochylona sosna, gdy się zdaje, że wnetki na łeb spadnie... Tuż za nim młodszy, niby smerek, co mu dwadzieścia wiosen przeszło. A za nimi pary... chłop w chłop! —

Dyle dudnią, powała się trzęsie, huczą basy, a skrzypce tną od ucha.

„Chłopcy Koninczanie!
Kaźcie sobie zagrać —
Ino se nie dajcie
Czupryniczki targać!...”

Smreczak przoduje — Porębianie chyłkiem się wynoszą.

Z alkierza wyszli gazdowie i postanęli przy drzwiach. Szumne chłopcy — padają — warto się im popatrzeć... jak sie niesą! o...

„Szumi piórko szumi,
Wysoko sie niesiel
Idzie hyr po ludziach,
Idzie hyr po lesie...”

A nawracając, Smreczak dojrzał Chybę i zaśpiewał pod nogi:

„Ni masz ci to ni ma,
Jako Złydaszykom!
Idą im piniążki,
Kieby woda rzykom...

Starego pogłaskało, że o nim pieśni idą... Komu by tu śpiewali?

Gwar przycichał dokoła, hasanie z góry zmieniało się pomału we „wściekły taniec”. Zwolna, zwolna poczerwieniały twarze, słowa zamierają na wargach... taniec wszystkich czaruje. Dyszą piersi, krew kipie, gorączka nadchodzi...

- Naski taniec!
- Goniony!
- Wartko!
- Krok!
- Trzymać się!

„Śtyry smreki — jeden trzop,
Kto podskoczy — będzie chłop!”

Huś! huś!

Rwie szybko potok głów, pieni się i faluje... Dziki rytm udziela się patrzącym, poczynają tupać i przytupywać... Dzieci ustać nie mogą, okręcają się w kółko... Zda się, że izbę pochłonie wir... Okna się trzęsą — ziemia skacze — wszystko się roztańczyło na zabój... Życie! — pulsują żyły — tętni krew! — Nozdrza się

dymią — wargi drżą... — Oczy rzucają iskry... na śmierć!

Szał owładnął już nimi. Wiatr powiał gorącą falą. Powietrze stężało i dusi... Namiętność wdychują pierśią... Szał! Omdlewająca rozkosz wiru...

Zgrzyt — struna pękła. Stanęli w pędzie — nad urwiskiem... Strojenie skrzypiec ocuciło ich.

— Co się stało?

— Dy widzicie...

Posiadali, gdzie kto mógł. Dyszą ciężko... Wielu odeszło na pole. Gwar się rodzi... podnosi... słyhać szepty... śmiechy. Pomieszali się młodzi i starzy, piją i gwarzą na nowo.

Kozerę spotkał Sobek za szynkwasem. Siedział on tu już od południa.

— I znowu was przywiedło? — spytał Sobek.

— Ho! Sobuś! To cała historja... Późno, to ci opowiem.

— Ni mam czasu!

— To bieda! Bobyś sie dowiedział...

— Dyc-ście sie zarzekali, że już nie pódziecie do karczmy!

— Niczego sie moje dziecko zarzekać nie trza! Jak cie ma trafić, to cie trafi...

— Ja to rozumiem! — przerwał Sobek, chcąc się wymknąć staremu.

— Zrozumiesz dziecko, jak ci powiem... Nie widziałeś kany mojej Hanki?

— Dy-ście wy do niej ojciec, to se jej patrzcie! — odrzekł drwiąco i odszedł na izbę.

— Harna śtuka — mruknał za nim Kozera — Nie będzie miała Hanka z niego pociechy... Wóla Boska! Żydu! — zwrócił się do Zysła. — Dej ta te Boskie obrazy...

Zysel podał mu półkwaterek mocnej. Wychylił i pograżył się w nabożnej medytacji...

W izbie szynkowej gwar się podniósł i śmiechy rozlegają się głośno. Cieszą się i radują wszyscy starzy i młodzi.

Kobiecina jakaś kręci się na środku izby z każdym, kto jej się pod ręce nawinie, przytupuje i śpiewa:

„Starego dziada mam,
Kochać-ci go muszę —
Boże-ż mój, weźryj nań
Wyjmij z niego duszę...”

A przy szynkwasię chłop jej głuchy nową kolejkę płaci kumotrom z wielkiej uciechy, że ma taką rzetelną babę.

Muzykanci, pod oknem na ławie usadowieni, nie mogą się ograć poczęstunkom — tylu ich raczy... Stary Gzica prym trzyma — zawołany grajek! Pokieła zdole udziżyć skrzypce w rękę, to ich nie popuści. Już mu się ręka tak wezwyczała, że mu sam smyczek chodzi... Ino zaśpiewać, kieby miał kto!... Nogą takt wybija, a nie pomyli o pół ćwierci... Nuci mu każdy półgłosem, co kto lubi, a on wygra bez myłki. Próbuje skrzypiec, przygrywa, tupie i uśmiechniętem zawdy okiem zachęca ludzi do tańca.

Znalazł się tu i Wojtek. Oknem patrzy — boi się iść do środka. Żeby nie ociec! — myśli sobie.

Ale nie może długo wytrzymać. Wlazł na okno i szepce Gzicy do ucha: — To-że grajcie!

„Obiecał mi tatuś
Siwe wołki kupić —
Ale mie obiecał
Ze skóry obłupić!...”

Dojrzał ci go stary Chyba...

— Tuś mi huncfocie!

Zanim się przepchał do okna przez tłum gęsty, już Wojtka nie było...

W te razy Józek wszedł do karczmy.

Owiał go na wstępie gorącz i zaduch. Szukał, gdzieby siadł niewidzialny i mógł się przypatrywać z bliska.

Naraz muzyka zagrała skoczną nutę. Pary zaczęły się ustawiać. Ruszyło i Józka, zrzucił płaszcz, stanął i szukał okiem tanecznicy...

Dojrzał go Sobek pośród innych, a on miał prowadzić wartki taniec. Toż to rzucił się ku muzyce...

— Z dziadami tańcował nie będę! — zawołał groźnie.

— Masz recht! — wrzasnął Chyba. — Jeszcze tu komorników potrzeba! Dziadów krotnych!

— Psia kryminał teromtete!!!

Powstał tumult i wrzawa. Z początku nie wiadano, o co idzie. Spodziewano się bitki.

Józkowi krew uderzyła do głowy i złość ścisnęła za gardło.

— To karczma... la bogaczów? — wykrztusił wreszcie.

— Nie la komorników! — śmiał się Chyba, a za nim wszyscy w izbie.

— Psie krwie... — wyjąknął Józek.

Była chwila, że chciał się rzucić na wszystkich, bić, gryźć i targać bez pamięci!... Zawczasu jednak zmiarkował, że nie da rady. Ich tyłu — on sam jeden .

Zarzucił chazukę na ramię i wypadł.

— Kozy paść! nie tańcować! — leciało za nim i śmiechy pogoniły go w pole.

— Psie krwie! — pogroził pięścią. Wstyd i oburzenie ścisnęło go za gardło; zimno i gorąco naprzemian drętwiło mu członki.

Ustał chwilę na chłodzie i przyszedł do siebie.

— Uciec na koniec świata! — pierwsza myśl, która mu wpadła, gdy stanął na drodze, wiodącej do Koninek. — Nie widzieć już więcej tych ludzi, nie słyszeć śmiechów... Uciec, skryć się przed nimi, jak najdalej!...

Szedł wartko, to przystawał, to się zataczał, jak pijany. Kapelusz zdjął, pot otarł i chłodził głowę na wietrze...

— Abo iść — myślał dalej — jąc się pracy i nie ustać, dopokąd nie zarobi telo, żeby mógł pedzieć: Patrzcie!... i ja nie mniejszy od was, jak nie większy! Bo własną pracą doszedł do tego, co wam

ojcowie zostawili... Śmiecież się ze mnie teraz, wy bogacze!

Myśl ta nie przeleciała szybko. Uderzyła go silnie w mózg, wrzący oburzeniem, i powracała ciągle, wypychając inne. Wreszcie zajęła go zupełnie.

— Pódeń! — myślał idący. — Niech się, co chce, stanie! Ja im pokażę, tym psom wściekłym! Choćby mi padło zdrowie zjeść, ręce poudzierać... to nie ustanie! Nigdy!... raczej śmierć, niżli takie życie poturalne!... Każdy cię kopnie, każdy się z ciebie wyśmiej, a ty co poczniesz? Porwiesz się na nich, to cię stłamszą i śladu nawet nie ostanie... Biednyś ty! biedny...

Sparł się na poręczy i żał mu się zrobiło samego siebie.

Takie życie, od czasu... Dzieckiem jeszcze pastereze go przy bydle odłączali, że był komorniczyn... Codziennie łyzy połykał, wyśmiewany, bity...

Myślał, że jak podrośnie, to mu będzie lepiej. Będzie robił, co zdoła, i na polu i w lesie, to przynajmniej choć jego pracę ludzie uszanują... A teraz co? Dyc robi — nie próżnuje przecie... i za cóż oni mają go tak poniewierać, za co?... Nikomu na złość nie zrobił — Boże uchowaj!... A że nie okrzesany między ludźmi — to i nie dziwota! W lesie ślęczy dzień po dniu.. to kaźby się czego nauczył? Kany?... Dyc gorsi ludzie są. Ba! Szymek od malarza ukradł Łukaszcze zboże, a żyją z nim i mają go za co, że gada!... On ino, Józek Margoścyn, przeganiany zewsząd, jak pies, nieprzymierzając, co go żoną z każdej cha-

łupy, i nikt się do niego przyznać nie chce... Mój Boże taka psia dola...

Zadumał się Józek i długo na poręczy siedział, pogrążony całkiem w rzewnem rozmyślaniu nad swoją dolą.

Ciemność wypełzła zewsząd i przyczołgała się ku niemu blisko, pod nogi...

Powstał wreszcie i poszedł Koninkami w górę, ku chałupie...

V

Późną nocą przyszedł Józek do chałupy. Spali już. Nie chciał ich budzić, otworzył drzwi do sieni i cicho wszedł do izby... Ale matka oczujnie śpi!

— Kto tam? Ty Józek? — ozwała się.

— Ja matusiu.

— Czego tak późno?

— Późno to?

— Dyć się pytaj! Już będzie po północku, abo więcy...

— Chryste Panie! To ja sie długo zbawił...

— Dyć se powiedz!

— Ha no, trudno.

— Każeś był?

— Nikany daleko... Ale pocóż wy matusiu wstajecie?

— Dyć przejesz co, boś pewnie nie wieszerał...

— Nie, nie strójcie! Leżcie... ja już pojadł!

— Kany? czego?

— Jutro wam powiem. Spijmy!

— Czy ci sie co stało, abo co... mówże przecie!

— Coby mi sie stało? Łąćcie już...

Ułożył się do spania. Matka czekała chwilę, czy nie przepowie co do niej... Wreszcie poleciała Bogu i Aniołowi Stróżowi chałupę i dzieci i przyłożyła głowę do pościeli. Nie długo i tak zdrzemnie, bo trza wstawać.

Na dzień się namieniało, kiedy zaświeciła kaganiec i poczęła przystrajać drwa na ogień.

— Trza Józusiowi zwarzyć jakie śniadanie, bo wczorajsza wieczerza już pewnie wydrewniała... Trza mu też zwarzyć, chlipnie co i pójdzie ta do lasa... znowu na calutki dzień... mocny Boże!

Rozpaliła ogień na nalepie i przystawiła wodę w garnku. Robiła cicho bez hałasu.

— Ta jeszcze czas, niech leży... bo sie dość we dnie namitręży. Biedne chłopczysko!

Po dużej chwili, gdy już woda wrzała, Margośka, siedząc przy nalepie, poczęła śpiewać Godzinki, którymi zwykle codzień budziła Józka. Przy pierwszej zwrotce zeskakiwał i biegł do konewki po wodę. Potem się obuwał, śniadał co — i do lasa...

Myślała matka, że i dziś tak będzie. Ześpiewała częśćkę pierwszą — Józek śpi... Ześpiewała drugą, Józek śpi... Cóż to takiego? Czy nie chory przypadkiem?

Podeszła ku jego wyrkowi.

— Józus!

— Co?

— Nie śpisz przecie?

— Ho! Odkąd ja nie śpię!

— To wstań, bo już czas będzie na ciebie. Teraz dzień krótki, wnet przeleci. Musisz co ześniadać, a potem przewdziać się. Wstań, wstań moje dziecko...

— Matusiu!

— Co? Czegóż chcesz? — wróciła się ku niemu.

— Ja dziś do lasa nie pódę.

— Czy... czyś chory?

— Nie, ino... — usiadł na pościeli. — Ja pódę do Pesztu!

Stała chwilę, uderzona tak niespodzianą odpowiedzią... do Pesztu!

— I... i jakże tam pódziesz?

— Tak jak chodzą insi, prościutko koleją...

Matka dopiero teraz przyszła do siebie.

— Co też ty mówisz dziecko... do Pesztu? To nie tak blisko, żeby przefurgnać, jak ptak... a cobys tam robił bez zimę?

— Ho! Tam roboty nie brak. Fabryk pełno... ino rąk brakuje. Przy cegielni katędy mogą dostać pracę i nie tak, jak tu. Bo zarobię z papierka, abo i więcy...

— Któż ci to dziecko naopowiadał takie bzdurstwa?

— Mówili ci, co byli... a zresztą ja sam nad tem nie mało myślał.

— Rąk we świecie nie brak, moje dziecko. Narodu więcy, jak roboty...

— Ludzie mrą...

— I rodzą się! A rodzi się ich więcy... I u nas, widzisz, co tu ludzi, a zarobku mało. Czy myślisz, że tam insze kraje? Tak biedni są, jak i tu... Bogatszych

może więcej, niż u nas, ale co to płaci na takie miasto? Tam ściąg narody mają, zewsząd idą i wydzierają jedni drugim ten kawałek chleba.

— Ale tam łatwiej wydrzeć, niż tu...

— Kto ma zdrowie!

— I ja mam, chwała Bogu.

— Aleś jeszcze płony... daleko ci do chłopa!

— A za chłopa robić muszę... nie pomożel! Co sie nadźwigam, jak i w lesie, to inszyby sie z dzieścięć razy złamał.

— Dyc sie narobisz, dziecko, bo sie trza narobić. Aleś przecie w chałupie, to jakosi łatwiej... Widzi sie, jakbyś poszedł, że wszystko bedzie gorzy...

— Coby! To sie ino tak zdaje. Nima sie na co spuszczać, bo tu o zarobek trudno. Dobrze, pokiela buki wożą fabryce... a jak fabryka stanie, to co bedzie? Powiedzcie!

— Dyc bieda tak i tak bieda. Ale zawdy swoja bieda lepsza... Bo jak przydzie, tak przydzie, to masz przynajmniej na czem legnąć... A u ludzi...

— Nie taki ta świat obcy! Nie wierzcie. Wszędy chwałą Pana Boga i dwojacy są: źli i dobrzy.

— Natrafić ino trudno.

— Zawdy przecie ja od nikogo łaski potrzebcwał nie będę. Żeby mi ino Bóg dał zdrowie...

— Matka Najświętsza!

— A jak też będę i robił, co zdolę, to mię nikt za psa nie weźmie, ba za człeka! Tu robię telo róków, a da mi kto poćiwe słowo, abo co?

Uniósł się na wyrku.

— Mocny Boże! — szepnęła Margośka.

— Ja przecie od nikogo za darmo nic nie wezmę nawet za dobre słowo podziękuję... A tu hycle są, nie ludzie, padam wam... Nikany nie wstępuj, na oczy im nie włącz, bo cie zjedzą! Abo ukąszą tak, że ochota do życia odlatuje... Pany! W harendę wzięli świat od Pana Boga i nie dadzą się używić nikomu, kto im się nie okupi... oni mają honory, dostojności wszelakie, reszta ma skakać przed nimi na piesku... La nich uciechy, tańce, zabawy i karczmy, la komorników nic! psia buda u gnoja...

— Może cie kany kto napastnął? Powiedz!

— E, napastnął!...

— Mówże przecie!

— Ja tu nie gadam o jednym razie, bo się to wi-
dać całe życie tak dzieje...

— Nie włącz pomiędzy nich!

— Dyc'każ pójdę? Swojego świata ni mam, że-
bych po nim chodził...

— O dyc'nie masz, nie, dziecko, nawet kawa-
łeczka!

— To też dorobić się muszę!

— Mocny Boże! Dorobisz się ta!

— A dorobię! Jak ino zdrowie będzie...

— Choćbyś i zdrowie miał...

— Wóla Boska! Ja pójdę, kany świat szeroki
i będę szukał pracy, pokiela nie najdę...

— Józus! Józus!

— Nie płaczcie, ja się przecież wrócę... i z końca
świata przylecę, jak napiszecie po mnie...

— O, dyć tak! Mocny Boże! Łatwo to powiedzieć!

— Bedzicie widzieć, że sie wróczę...

— Świat nie mały, kto wie, co ci sie może przytrafić...

— Wóla Boska! Dyć i tu śmierć człeka nie minie. A mam sie całe życie poniewierać, to wolę rok, dwa roki między ludźmi przebyć i dorobić sie telo, coby se żyć przystojnie. Mam tu ludziom z pod nóg ustępować, jak pies głodny, abo co! Żebych to czucia ni miał, to by mnie krzywda nie bolała. Ale i pies ma czucie, a człowiek ma i duszę! To go boli...

— O boli! boli...

— To widzicie, że darmo! Ostawać ni mogę... Ci z przeciwka bogacze zajedli sie na nas i robią despet, kany sie ino trafi. Stary Chyba wie dobrze, że nas nikt nie broni, że sie nikt za nami nie ujmie... Całe życie wymawia, że na jego siedzimy kamieńcu, na tych skałach przeklętych... Coby miał z nich? powiedzcie. A nie wspomni se przecie, że nieboszczyk nasz tata krwawo zarobił ten kamieniec!... Nie wspomni se! Chciałby, żeby mu robić bez lato za darmo, a nie spyta sie, czy mamy na zimę łyżkę strawy! Zdychajcie pada, komorniki, żeby sie ino mnie dobrze działo...

— Dyć tak, mocny Boże!

— Takie życie, a nijakie, to jedność... Lepiej od razu skrepnąć kany...

— Nie bluźnij!

— Wyślugować sie całe życie, nie wiedzieć ko-

mu, robić od rana do nocy, bezustanku, i ni mieć za to co do gęby włożyć?! Pódeę we świat, niech będzie, co chce! Jak zarobię, to przydeę...

— Józus! Józus!

— Nie krzyczcie. Nic mi sie nie stanie. Tam ludzie są i od nas...

Wstał z wyrka, odziewał się i perswadował matce, żeby się nie trapiła.

— Ale cóż ono ci tak przyszło na myśl? — spytała, gwałtem wstrzymując łzy. — Nic-eś nie gadał, jak i dawniej...

— Mówili mi chłopczyska u kościoła...

— Zbierają się?

— Dyć ich nie mało pódzie. Namawiali mnie, coby jutro... Juści ja im ta nie przyobiecał, boch sie na was obzierał, co powiecie...

— Co powiem! mocny Boże...

— Myślałech nad tem idęcy od kościoła...

O karczmie nie wspominał, dla siebie schował obrazę. Czuł, żeby stracił upór, który mu dawał siłę, gdyby się wygadał.

— Bedzicie widzieć psie krwie, — myślał sobie — jak ja wam zaśpiewam!

— I tak myślisz już iść do tego światu? — spytała żałośnie po chwili.

— Pódeę, mamó. Niech będzie, co chce!

— No dyć dobrze... — zawahała się. — Pódziesz na wóle Boską, to my sie tu musimy bez ciebie obejść... Ale dyć piniędzy nima nijakich... jakże będzie... Przecie o niczem nie pódziesz tele światy. Trza na drogę...

— Juści trza! — zadumał się Józek, — Wiecie co matusiu? Przedajcie kozy...

Ułękł się jednak propozycji i patrzył na matkę nieśmiało, nie wiedział nawet, skąd mu ta myśl przyszła. Może temu, że nic nie było inszego.

Te dwie kozy stanowiły calutkie gospodarstwo. Żywiły ich przez lato.

I tak na zimę musicie je sprzedać, bo nima potrawy... — zauważył.

— Kozy przedać — zamyśliła się matka. Stały jej na myśli długie, jałowe tygodnie bez mleka. — Juści darmo! Inszego niema... Przedać trzeba, nic nie pomoże. Choćby się żywiły cierniakami ku zimie, to jak mrozy przydą i zasy, czem je chować? Nie poradzisz człeku, ino tak musi być, jak się konieczności podobają... Kież to jarmak? — spytała.

— Jutro!

— Prawda, wtorek... Tobys ty jutro szedł?

— Juści, że tak. Bedą czekać na mnie u kościoła.

— Ha! Niech sie dzieje wola Boska... Zosiu! wstawajże, bo już rano. Nie widzisz, kieli to dzień!

Zbudziła dziewczę, otarła łzy, przyschłe na licu, westchnęła ciężko i poszła rozpalić ogień na nalepie, bo wygasł doznaku.

Zosia zeskoczyła z ławy, na której w kącie miała pościelone grochowe badyle, i umyła się wodą z konewki.

— To już teli dzień! ratunek!

— Dziwuj sie! dziwuj! — rzekła matka.

Niezadługo ustroiła śniadanie i zasiedli wszyscy troje, pożywając w milczeniu dar boski...

Po śniadaniu jęło się każde pracy.

Zośka kozy pognała...

— Ino je napaś! — wołała za nią matka. — Bo jutro nie bedziesz.

— Laczego?

— Kozy pódą na jarmak...

— Na sprzedaj? — zasmuciła się Zosia.

Józek patyki zwłóczył na ogień i przystrajał, co mógł, przez cały dzień. Margośka porządki robiła koło izby i popłakiwała cicho po kątach. Powoli włókł się ten dzień smutny. Dużo robót skończyli, zanim noc nadeszła.

Na drugi dzień zrana jeszcze smutniej było w chałupie za wodą.

Józek się zbierał, choć nie dużo miał do zbierania: parę koszul, płócienki i pół kwarty masła.

Nie sporo mu było, i dziwna bojaźń przed nieznanem ścisnęła mu serce.

— Moc Boska! — powtarzał często, starając się zapanować nad sobą i nie pokazać wzruszenia zapłakanej matce.

Robiła ona, co mogła, przystroiła mu na drogę wszystko i kozy napaśła świtaniem, ale ciężar wielki przysiadł jej serce i nie ustępował.

— Widzi mi sie i widzi, że kogoś wynoszą... — mówiła smutno, pozierając na Józka.

— Bajecie! — odpowiadał z bojaźnią.

— Józus! Józus!

— Nie krzyczcie, dyć sie przecie wróćę.

Zosia też pomagała matce płakać, choć nie wiedziała czemu... Jej się zdawało, że Józek pójdzie, jak na odpust i wróci niedługo. Dziwiło ją tylko, że się z takim smutkiem wybiera. Mówi, że po piniądze jedzie a smuci się — myślała. Dziwiła się potem, że ją uściskał na ostatku i przeżegnał się w progę.

Matka wyganiała kozy z komórki, kiedy wpadł Wojtek.

— Na jarmak?

— Nie. Do Pesztu...

— Tak daleko?

— Nie blisko...

Wojtek się zastanowił i stanął na boku. Kozy wyszły, za niemi Józek z matką.

— Do Pesztu!... — dumał Wojtek.

Wyskoczył za Józkiem.

— Józus! — szepnął mu cicho. — Przygotuj tam robotę, to przyjadę...

— Siedź w chałupie, kie ci dobrze...

— Aha, juści! dobrze!

— Co ci jest?

— Z ojcem nie poradzę. Bije mnie...

Odprowadził ich na drogę i wrócił do Zośki.

Józek niósł zawiniątko, siedł obok matki i kozy popędzał na jarmak.

— Kielo dadzą, myślicie?

— Kieby choć dwanaście...

— Trza sie targować...

— Dyć jak? Żeby Bóg opatrzył kupcem...

— Żeby ino Rabczanów nie było!...

— Też to! Gorszi, niż żydzi...

— Żyd oszuka we dwoje, a Rabczan w pięcioro.

— Taki naród okpiśny.

— Choć to krześcijany...

Szli na dół Koninkami i rozmawiali o sprzedaży, to o zimie zawziętej i mroźniej, na jaką wszystko pokazuje. Ale rozmowa urywała się szybko, gdyż oboje myśleli o czym innym. Chwilami matka odwracała się, niby nos wysiąkać, i ocierała łzy ukradkiem.

Przecie je dostrzegł Józek i starał się oscymać .

— Dyć już nie płaczcie, mamó...

— Tak mi sie samo płacze...

— Przecie tam wiekował nie będę.

— Nie wiem co, ale mnie sie widzi, że cie już nie zbaczę...

— Moc Boska! Tak nie mówcie. Jeszcze sie dość nacieszymy sobą. Przyjdzie wiosna, to przydę, przywiezę piniędzy i będzie nam lepiej na tym świecie. Wierzcie mi!

— Mocny Boże! — westchnęła.

— Kupimy se kawałek pola, zasiejemy zbożem i pomału, pomału przydziemy przecie do jakiego majątku. Początek ino trudny, potem samo sie nam będzie wiedło... Wierzcie mi!

— Dyć dałby Bóg...

— Tak, mamó. Nie trapcie sie, nic sie nie trapcie, mówię... Na zimę, to wam przyślę, jak ino zarobię... Nie bedziecie biedować, jak mi Bóg da zdrowie...

I począł roztaczać przed oczyma spłakanej matki barwne tęcze nadziei i złotych planów na przyszłość. Nie rozweselił jej tem, ale uspokoił.

Ludzie się przyłączali ku nim, szli razem ku kościołowi... na jarmark.

Na jarmarku ścisk panował wielki. Ludzie na rynku stali gromadami, a głośną ich gwarę zalewały kłótnie targujących, beki cieląt i nawoływania przekupniów.

Za wodą na kamieńcu, gdzie miejsce dla bydła, jeszcze większy hałas panował. Kwiki prosiąt przerażliwe, jakby je ze skóry łupiono, mieszały się z posępnym rykiem wołów i żalonym bekiem owiec. Istny sąd! Skargi, lamenty zwierzęce tworzą chaos jarmarczny i wypełniają powietrze całe.

Ze zgiełku powszechnego dobywają się wyrazy ludzkie, jak z potoka hucznego bełkoty ciche i częste. Swarzą się całe gromady, to się dwóch przegaduje przy kupnie... Tu jakiś gazda zachwala woły swoje drugiemu, ten gani... Tam Josel, rzeźnik, pod nogi pluje bratu swemu, który go zręcznie podkupił, i przeklina w głos cały:

— Żeby się pod tobą ziemia rozstała! A jak ty w te jame bedziesz leciał... żeby cię jeszcze szlag trafił!...

Najgłośniej słychać Rabczanów. Zaklinają się śmiało w oczy, sto razy przysięgną za prawdę, a dwieście razy oszukają... Plemię, które od kilkudziesięciu lat zajmuje się handlem, plemię chłopskie.

Stała Margośka przy płocie. Kozy trzymała na powrózku.

Obskoczyli ją Rabczanie dookoła.

Bojaźliwem okiem szukała Józka, stracił się jej...

Musi sama sprzedawać.

— Wiele za to?

— Dyc piętnaście...

— Kpiny, czy co?!

Poczęli się rzucać.

— Na sumienie mojego ojca daję siedem!

— Ja półosma!

— Ja dam osiem!

— Ani centa!

— Żebych nogi połamał, jak dam więcy!

Kłócili się przez kwadrans, wszyscy dla jednego.

Otumanili Margośkę doznaku i zapłacili wreszcie dziesięć reńskich.

— No, chwałaż Bogu — szepnęła Margośka, czując w ręku pieniądze. — Gotowi byli nic nie dać...
Co za naród!

Obejrzała się z miłością na kozy, przeżegnała je na ostatku i poszła szukać Józka. Znalazła go. Stał pod ratuszem z parobkami. Wszyscy już byli gotowi do drogi.

— Przedaliście?

— Z wola Boską...

— Za kielo?

— Nie za dużo Józus, nie. Za dziesięć...

— Chwała Bogu.

— Już idziecie?

Popatrzyła na niego żałośnie.

— Dyć ino na mnie czekają...

— Poczekajże...

Sięgnęła ręką do zanadrza, wyjęła gałganek, rozwinęła i poczęła rachować.

— Jeden, dwa, trzy... masz całutkie dziesięć.

Naści-że!

— Jeden se ostawcie... — szepnął Józek, odbierając.

— Na co?

— Przyda sie, choć na sól...

— Schowaj! My sie ta obejdziemy. Prędzej się tobie przyda...

— To wam przyślę.

— Proś Boga naprzód o zdrowie. Nie trap się o nas. Wyżyjemy jako...

— No idziemy? — ozwało się paru.

— Mój Józus! Jeszcze ci też zabaczyła pedzieć, że sie też nie wdaj z byle kim, patrz roboty, a zdrowia se też szanuj, byś po niewczasie...

— No, no, dobrze!

— A pisz nam też tu, jako ci sie tam będzie powodzić.

— Ostańcie z Bogiem!... — szepnął, całując ją w rękę.

— Józus! Józus! — załkała głośno.

Ujęła głowę jego pochyloną w obie dłonie, a łzy cióreckiem spadały na włosy.

— Niech cie Pan Bóg ma w swojej opiece... Matka Najświętsza...

Nie mogła słowa dalej wypowiedzieć. Ucałowała mokre włosy i przeżegnała krzyżem świętym.

— Bo już czas! — zawołali.

Józek się złączył z nimi i ruszyli gromadą na kolej. Zdała obejrzał się na matkę i rękawem otarł łzawe oczy.

— Moc Boska! — szepnął sobie, idąc za drugimi.

Margośka stała długo i, patrząc za Józkiem, gryzła trok lnianej łoktusy, którą była zaodziana. A łzy, jak groch okrągły, staczały się po dłoni na ziemię.

Potrącali ją ludzie. Usuwała się machinalnie i patrząc w tę stronę, gdzie Józek poszedł — do świata...

Wreszcie poleciała go myślą Bogu i poszła płaczący do chałupy.

Zosia wyleciała naprzeciwko niej, ku wodzie.

— Mamo! kanyż kozy?

— Przedane.

— A Józus?

— Józus... — nie mogła mówić, dławiły ją łzy. — Pojechał moje dziecko...

— Ale wróci wnet?

— Wróci.

— Żal wam tych kóz, mamusiu? — spytała, widząc łzy w oczach.

— Pódź, pódź dziecko. Nie gadaj...

Przyszły do chałupy.

Matka usiadła na ławie i nawet się jej zdjąć łachów nie chciało.

— Jak tu pusto w tej izbie! — szepnęła.

— Nie żałujcie mamusiu, przydzie jarmak, to kupimy insze i bedzie...

— Moje dziecko... — przyciągnęła ją ku sobie. — Moje dziecko!...

Płakała nad nią długi czas, a Zosia pocieszała ją, jak mogła.

Szła zima mroźna, zima bez nadziei dla biednych komorników. Co kto miał, to zwiózł z pola i schował głęboko. Komornicy nic nie mieli do schowania. Bóg dobry, Matka Boska, to ich nie opuszczają...

Opustoszały pola i straszą dziką posępnością... Zdaje się, że świat cały jest jednym ugiorem. Rzadkie, zielone płyty oziminy zdają się być nikłem, przyczajonym życiem, co się dopiero na wiosnę rozbudzi...

Martwica schodzi już na ziemię i w szkielety zamienia soczyste łodygi roślin.

Do słońca bielą się suche ściernie i szarzeją wilgotne, świeże ziemniaczyska. Pustka i pustka dokoła...

Szalone wichry goniają się po ugorach, wieszają po konarach i jęczą...

Słońce ostygło, nie dogrzewa, ziemia lodowacieje, mróz...

Przylatują z wiatrem płatki śniegu, bieluśkie, jak puch... Pewnie tam w niebie rozsypują pierze i leci, leci na tę ziemię. Żeby to manna dziś leciała, mój Boże! — myślą biedni. — Pan Bóg łaskawszy był drzewiej na ludzi... Nie inaczej!

VI

Dziwnie mieszkają, jak i ci Satrowie... Chałupinę mają na brzyku niedużą, starą. Gonty z dachu powylaływały, szparami mógłby woły wewieść rogate... A oni w traczu deski rzną dzień po dniu.

— Mogliby chałupę pokryć.

— Nie pilno! — odpowiadają ludziom. — Niech ta stoi do wóle Boskie...

W zimie pokryje śnieg, a w lecie niema czasu, i tak schodzi.

— Kto ostanie w chałupie, to se niech stawia... — myśli sobie każdy z nich po cichu. — Ja by sie ta dokładał. To nie moje...

I zarabiają w lesie, a chałupa stoi „do wóle Boskie“, póki stoi... W oknach ino dwie szyby całe, a reszta deszczułkami zabita. Zmiłował się nad niemi Jantek i pozabijał, bo wpierw onučkami zatykali, tak, że w jedną niedzielę nie było już co obuć do kościoła... Taka bieda!

Myślałby kto, że wewnątrz... Panie ratuj! Z powały wiszą z roku na rok sadze; pająki mają o co

zaczepiać postawę. Ze szpar mech się usuwa; temu to muchy mają codzień świeże powietrze. Koło ścian idą ławy, z grubsza ociosane, a pod ławami grzybów pełno: czy zima, czy lato. Podłoga, z ubitej gliny, zawsze mokra, bo z konewek ciecze. Ku nalepie dojsć trudno, trza się stermać na oślizgłe wzgórze; za to zejść daleko łatwiej — samo jedzie. Piec, oblepiony czarną gliną, rozpada się powoli; już się dość nastał w jednym kącie. W przeciwnym rogu stoi łożko, jedyny przedmiot rodzinny, który ich łączy... Kolebka trzech pokoleń! Obszerne, jak koszar, chwierucze się na wszystkie strony. Z boku kołkami zbite, popodpie-rane stołkami ze spodu — może jeszcze długo służyć czwartemu pokoleniu... ojej!

W izbie, prócz Satrów i komornicy, chowa się jeszcze dziesięć par królików, pół kopy kur i cielę, tyle narodu. Cielę z królikami żyje zgodnie, choć mu siano z cebrzyka wykradają; za to ludzie swarzą się codzień.

Matka chciałaby „dzieci“ krótko trzymać, a one starają się wmówić w nią, że już dorosły. Stąd piekielko w chałupie.

— Ja wam gadam—powtarzała codzień zrana— że pokiela mnie ta święta ziemia nosi, nie chcę słyszeć o żadnej synowej! Rozumiecie?!

— To nas chowajcie na pośmiewisko ludzkie — mruczał Romek.

— Ja ci powiem, ty siwcu! Co ci sie dzieje? Ni masz co zryć?

— Edy zryjcie! — kłął Jantek.

— Cit! Mon merr moje słowo!!

Milkli wtedy i żaden nie odmarkował. Zabijała ich cudzoziemską gwarą. Małe to babię umiało sobie radzić z trzema chłopami. Im większa złość jej była, tem dziwniejsze najdowała wyrazy. I musieli jej słuchać, a jak nie, to...

— Reksom kierdaj!! Do roboty!

Tupnęła nogą na środku izby, jak trusica na odmianę, i wtedy milczkiem jeden za drugim pomykał w pole.

Najwięcej miała kłopotu z Romkiem, potem z Jantkiem, najmniej z Michałem.

— Michałek, dziecko mamine! — mawiała. — Nie prze sie do żeńby.

Ludzie zaś mówili, że skroś Michałka już niejedna dziewczka z krzykiem od Satrów odeszła. Choć Satrowa nie dała nic powiedzieć na swoje dziecko. Któż wie, czyja prawda? Może i jej — bo ostatnia służąca dlatego odeszła, że nie miała gdzie legać...

— Widzisz Wiktuś — mówiła jej Satrowa — ja by cie chętnie i na zimę ostawiła, ale kanyż bedziesz spać?

— Choć kany!

— Dobrze, pokiela było ciepło. Wtulilaś sie do szopy, abo kany i było. Ale w zimie trudno sie mamy wszyscy gnieść na tem jednym łóżku... dyć powiedz! Na ziemi w izbie? Dyć dobrze, ale jak cieląt Pan Bóg nagodzi, jakże bedzie? Nie urada, nie, Wiktuś...

Wikta też, niewiele myślęcy, pozbierała swoje łachy i poszła.

— Ubyło jedne gęby na zimę... Chwała Bogu! — pomyślała Satrowa i poczęła medytować, jakby się pozbyć Jagnieski. — Jej strachem nie odżenie, bo ta sie zimna nie lęka, ani mrozu... Co tu począć? — myśli sobie... — Na zimę trzymać jej niema po co, bo niema i roboty. Zepchła ta w lesie kielo telo, ale co to płaci? Tego nie znać, ani nic...

Myśli... myśli, nareszcie wymyśliła.

— Do rozumu gadać jej nima co, bo tego nie zrozumie, co ja chcę pedzieć... Darmo! Trza jej do serca przemówić, to uwierzy... Serce ma dobre i poćciwe... Strasznie dobre kobiecisko z tej Jagnieski! Jaże mi jej żal... doprawdy.

I pewnego dnia, kiedy się chłopi zabrali do lasu, powiedziała jej otwarcie:

— Musisz se Jagnieś poszukać komory, bo nam też bedzie ciasno...

— Spodziewacie sie kogo?

— Boże uchwaj! — odrzekła Satrowa. — Ale, widzisz, izba mała, a krzątania dużo... Jak sie poschodzą wszyscy, to sie trudno obrócić... sama widzisz! Teraz i prosięta zastąpią, bo sie ich bedzie puszczac do izby i kanyż sie podziejemy wszyscy?... Uważ se!

Jagnieska też pomyślała, że przez całe lato było przestrono — naraz sie robi ciasno.

— Ja wam najmniej zajmuję tego miejsca — ośmieliła się wyrzec.

— Boże uchwaj, żebych ci co gadała... Widzę sama, jak sie skurczasz.

— No wicie...

— Ale gawiedzi przybywa coraz więcej, bo na zimę, to się wszystko pcha do izby... trusie, kury, prosięta, dwoje kociąt i cielę, no i nas pięcioro... Patrz, kielo to narodu! Zauważ se sama...

— To mnie gosposiu wyganiacie doznaku?

— Nie wyganiam. Broń Boże! Dyc by mnie Pan Bóg skarał, Matka Najświętsza! Ino ci mówię zawczasu, żebyś se komory poszukała, bo nam ciasno... Nam będzie lepiej i tobie.

— Mocny Boże!

— Nie labiedź, bo nie masz o co. Kielo to chałup, co mają przestrono! U Gąsiora, u Sroki, w Drapie... Wszędy cie przyjmą, boś robotna.

— Na lato, ale na zimę wyżeną...

— Nie baj, nie, Jagnieś. Coby cie wyganiali! masz ty rozum?

— Też temu, że rozumu ni mam, tak mi się dzieje...

— Dyc mi cię żal, bo żal i nie puściłabych cię za żadne pieniądze. Ale trudno. Nie my, ino wóla Boska wszystkiem rządzi... tak Jagnieś, tak. Nie desperuj, nie, ino sie bier pomału, póki widno... Dźwigać ni masz co...

Jagnieska podumała chwilę, szepnęła parę razy: „Mocny Boże!” i cóż miała robić? Nie chcą jej, to widoczne. Trza szukać schroniska jakiego... może najdzie! Bóg litościwy... zawdy... przecie...

Pozbierała swoje łachy, związała do łoktusy i obłapiła Satrową niziutko za nogi.

— Moja gosposiu! Niechże was też Pan Bóg nie opuści za to, coście mie tak długo mieli...

— Nie schylaj sie, nie!

— Ostańcie z Bogiem!

— Z Panem Bogiem idź Jagnieś. A chowaj sie ta i krzep jako, to może Bóg dać na wiesnę, że cię przyjmę...

— Bóg wam zapłać stokrotnie! żeście tacy...

Wzięła zawiniątko na plecy i poszła drogą na dół, ku wodzie. Ani jej żal nie było, ani smutno... Ile to razy odchodziła tak, na gorszym czasie!

— Zawdy tak bywało i będzie... do skończenia świata! — pocieszała się, gdy jej bieda zanadto nokuczała.

Przez lato wszędy miała miejsce, a najbardziej więksi gazdowie radzi ją widzieli... Robotna była, że hej!

— Ino ta zima nieszczęsna, ta zima! — myślała nieraz. — Czemu to człek gackiem sie nie urodził? Uwiesiłby sie katędy i przespał do wiesny. Nie kłopotalby se głowy... Mój Boże!

Na zimę prędzej znalazła schronisko u chałupnika, niż u gazdy. Wiedziała o tem od dawna i teraz myślała o tem, stojąc przy ławie.

— Kany iść? — myśli sobie i rozważa długo. — Do Chyby ni ma po co, do Malarza równie... Do Kozery by poszła, ale to bałamut... niech Bóg brani... Juści, że do Margoški będzie najporęczniej... Jedna bieda drugą biedę zawdy rada widzi.

Sprawdziło się, bo Margośka przywitała ją radośnie na samym wstępie.

— Chyba cię Jagnieś Bóg przyprowadził do mnie, żeś przyszła...

— Czyście chorzy?

— Nie chora. Ino mi sie cnie okropnie...

— Skrós czego?

— Skrós tego, że Józka nima...

— Ehę! Bo on to do świata poszedł... moiściewy!

— Juści poszedł w tamten jarmak i nie pisze, nie wiem, co takiego...

— E pewnie nima co pisać.

— Czy ja wiem? Moja kochana... siądzże! Rozodziej sie. O, jak to dobrze, żeś przyszła. Pobędziesz u nas, choć ze dwa dni...

— Dyc, moiściewy, ni mam ka być.

— Wygnali cie Satrowie?

— Ja nie wiem, jak wam pedzieć... Oni mie ta obces nie wyganiali, nie, ale i onym ciasno...

— U nas sie zmieścisz, choć izdebka nie duza.

Siadaj!

Podala jej garnek z nalepy.

— Zajesz co...

— Nie szukajcie.

— Dyc, co Bóg nagodził... Weźże łyżkę! Ta nie omaszczone, nie, ale trudno! Kozy sie przedało w tamten jarmak.

— E, za kielo?

— Za dziesięć. Prawie Józkowi na drogę.

— Moiściewy! Tak to, tak.

— Jedźże!

— Jem, nie raczcie... Zosia kany?

— E, dyć nie wiem, kany... Cnie się jej wicie bez kóz, to nie usiedzi w chałupie, ino lata po całych dniach. Na traczu wysiaduje przy wiatrce, to Bóg wie, kany... Co się jej nagadam, żeby posiedziała przy mnie... coby! Nie upytasz ją żadną miarą, takie uparte.

— Nie poradzicie, darmo! Dzieciska, jak dzieciska, nikany miejsca nie zagrzeją.

— Pokieła Bóg daje zdrowie...

— Tak to, tak.

— E jedźże!

— Już nie będę.

— O, jakaś to!

— Nie raczcie, bo nie będę.

Obłąpiła nisko Margośkę za nogi i, ocierając trokiem brudnej paruchy usta, wodziła oczyma za krzątającą się koło nalepy. Chciała coś powiedzieć, nie śmiała, czy też nie wiedziała jak, z czego zacząć... Wreszcie po długim wahaniu, gdy się Margośka nabliżyła ku niej, zesunęła się nagle ze stołka i objęła ją za kolana.

— Jagnieś! — odwróciła się zdziwiona Margośka — cóż ty robisz? Dyć nie płacz, ino powiedz, o co ci idzie...

— Mo... moja gosposiu! — poczęła z płaczem Jagnieska. — Jaby też chciała, żebyście chcieli...

— Mówże śmiało!

— Kie mi was żal tak napastować.

- Nie bój się!
- Jaby też chciała na zimę ostać u was...
- Laczego nie? Ostaniesz.
- Moiściewy!...
- Nie schylaj się...
- Niech wam Bóg nagrodzi.

Uszczęśliwiona, siadła pod oknem na ławie, a łyzy jej długo jeszcze kapały na spódnicę.

VII

Było im dobrze razem. Jedna drugiej naoscy-
mała, gdy bieda jaka przyszła, i chwilami zdawało
się im, że przecie życie nie jest takie złe doznaku,
jak opowiadają. Ziemniaki miały jeszcze, dzięki Bo-
gu, a że jałowe — to trudno. Nie wszystko naraz
Pan Bóg daje, bo by się człowiek zwydrzył. Zda-
łoby się mu, że Paniezus musi dbać o niego i prze-
stałby się modlić. Tak bywa. Lepiej pomału, a zawdy.

— I omasta się najdzie, jak sie Panu Bogu bę-
dzie podobać — mówiła Jagnieska. — Nie nasza,
ino Jego święta wola niech sie dzieje...

— Też o to gra, że roboty ni ma nijakiej —
skarżyła się Margoška — przeszłej zimy kądzieli na-
niesły...

— Nie tróbujuć się gosposiu, bo sie najdzie.

— Mocny Boże! Poradzisz to z ludźmi, Jagnieś...

— Popróbuję...

— Szkoda zachodu...

— O, dyc ino! Bedziemy widzieć, co Bóg da...

W Drapie zebrały lnu nie mało, nie oprzędą same

nijakim sposobem. Na Dolinie co roku dają praść z chałupy, to ja zajrzę...

— No dyć idź! Ale po szczęściu, żebyś co przyniesła...

— O dy przecie!

Poszła Jagnieska po wsi za lnem, a zbliżając się do chałup, nuciła sobie cicho:

„W Twojem ręku Wszzechmogący
Szczęścia mego losy,
Który spuszezasz dla pragnącej
Ziemi deszcz i rosy...”

I nie zawiodła się na boskiej ufności. Nazdawały jej kobiety sporo przedziwa, że unieść nie mogła na narączku. Nie rozpowiadała jednak, że z Margošką będzie praść do spółki, boby jej tyle nie dały. Margošce trzeba płacić gotowizną—wiedziały dobrze. Jagnieska zaś (poćciwa kobiecina!) uprzedzie i bez zapłaty, jak zawdy. Co kto woli? One wołały nie płacić.

Ucieszyła się Margoška wielce, gdy Jagnieska wyłożyła z łoktusy dwie duże kitki.

— Te cienkie, a te grubsze, te znowu pacześne...

— Ho, ho! Chwała Bogu! Bedzie dość przedziwa...

— No widzicie...

Poszukały przęślic za łóżkiem, ponawijały lniane garstki i prządziel gotowa.

— A mnie przęślice... mamó! — upierała się Zosia.

- Ty posiedź! Masz co robić w izbie.
- Ja nie chcę! Ja wolę prząść!
- Przydzie czas, że i ty prząść bedziesz...
- Kto wie, kiedy! — tróbowwała się Zosia.

Mając jednak nadzieję, że to wnet nastąpi, nie wybiegała na tracz do watry, tylko sprzątała w izbie za matkę i pozierała ku niej z niemą prośbą. Gdy wrzeczono wypadło której prządce z ręki, chwytała je w lot i podawała, kręcąc w drobnych paluszkach, jak-by chciała rzec: „Wicie i ja potrafię obracać...”

Cóż, matka tego nie rozumiała i nie zwracała na córkę uwagi. Skinęła jej głową, ale rozmowy z Jagnieską nie przerywała.

— Mówiły zaś w czasie przędzy bezustanku. Miały sobie co opowiadać, wracając pamięcią do lat pasterskich i dalej jeszcze — do kołyski w chałupie ojców.

— Tak, widzisz, Jagnieś, ostawili mnie sierotą zawczasu. Nie było mnie komu wykarmić, ani chować...

— A z gruntem co?

— Nie było wiele. I to przeszło w niepile¹⁾ ręce...

— Mocny Boże!

— Zabrał taki, co najmniej prawa miał do tego.

— A z wami co?

— Ja sie chowała sama. Bóg mie chował. Dziwię sie, żech z głodu nie usnęła na wieki... Tak, tak

¹⁾ Niepile — obce.

Jagnieś. Skoroch ci już odrosła od ziemi, toż to naleźli sie ludzie, co mnie wzięli, niby za swoją, boch już paść zdołała...

— No wicie!

— Pasałach ci ja owce na pustaci bez siedem roków. Jedzenie mi ta nie zawdy przynosili. Zabaczyli se czasem, toch nie jadła... Ale jagód było dość po lesie...

— Chwałaż Bogu!

— Nazbierałach se nieraz pełniutki podolek...

— Widzicie, jak to Bóg i o najmniejszym chrobaczku pamięta.

— Oj pamięta, Jagnieś, pamięta! Ludzie nieraz opuszczą, świat zawiedzie...

— Oj zawiedzie, gosposiu, zawiedzie!...

— Dyć mi dobrze było, nie powiem! bo mie zawdy radzi mieli, że rety!... Musiałach sie narobić, co prawda, ale dyć nika spoczynku ni ma...

— Oj ni ma!

— Chcieli mnie trzymać do śmierci...

— Ehe!

— Nic, ino: „bedziesz u nas i bedziesz, nie tróbujsie“, padali mi... Alech w te czasy poznała Szymka, jak i mojego nieboszczyka, co u Chyby służył... Jusćić skończyło sie wszystko i poszłach...

— Na tę biedę nieszczęsną...

— Na tę biedę.

W przerwie gdzieś mucha brzękła sennym głosem, albo wrzecziono zafurczało w powietrzu.

— Dyć i ze mną tak, moiściewy — mówiła Ja-

gnieska. — Nie bieda mnie z chałupy wygnała, ba ludzie źli nie dobrzy... Miałach ci ja ojców u Gaśiora, dyć wiecie...

— Cobych nie wiedziała!

— Macocha była zajadliwa okrutnie, bijała mnie raz na dzień i więcy. Oj, bijała!... Ociec nieboszczyk nie wiedzieli o tem, abo nie chcieli wiedzieć, kto ich ta wie... Dość, żech przeszła niejedną mękę Pańską na tym biednym świecie, już zawczasu...

— Biedna biedo!

— Skoroch ci już podrosła, juści nie porada było wysiedzieć w chałupie. Poszłach na służbę. Służyłach za lasem, u gđowca, co miał dziesięć morgów pola. Byłach u niego calutkie pięć roków. On też, widząc, moi kochani, zem robotna i nie ciężam se pracy, chciał sie ze mną ożenić...

— No i jakże?

— Dyć wam powiem. Ożeniłby sie był na pewno, ni ma co gadać. Ale miał spłacić niewielki dłużek, toż to chciał ze mną choć ze trzydzieści reńskich. Ja do chałupy, pytam ojca: „Dejcież mi tatusiu trzydzieści reńskich, to sie wam usunę...” ale cobyś poradził! Macocha odrazu zapobiegła, ociec też pedział wyraźnie, że sie na mnie tracił nie bedzie... Cóż było robić? Sługowałałach jeszcze po wsi długi czas. Tatus był chory. nie pedzieli mi nawet, nie poszłach. Przy destamencie zabaczyli se o mnie doznaku. Myśleli może, że mnie nie było na świecie, czy co... Przyrodnim poostawiali wszystko, mnie ino zagon pod ziemniaki i to jeszcze

na prośby chrzestny ojca. (Nie mu ta Bóg da zdrowie, bo już nie żyje).

— Hm, hm...

— Tak, moi kochani, skoro ociec pomarł, to i za-
gon przysiedli...

— Mogłaś nie dać!

— E, prawujcież sie ta z nimi! Dam to rady?
Ja jedna, onych telo... nie poradzę, nie, moiściewy.

— A prawo kany?

— Nie jedno prawo na świecie, moi drodzy, nie
jedno... Insze la biednych, la bogaczów insze...

— Coby zaś!

— Dyc spróbuje i wy prawować się z Chybą,
a zobaczycie, kto wygra?...

— Pewnie, że on.

— To widzicie. Na ziemi ni ma la nas sądu
sprawiedliwego...

— Mocny Boże!

— Ja też ino telo sie zemszczę na nich, że spom-
stuję, zwycytam, co ino wlezie... niechże mają! Ale
mnie tu — biła się pięścią w serce — tu mnie boli,
jak se wspomnę na to...

— Dyc wierzę!

Opowiadały sobie dalej szare koleje życia aż po
dziś dzień i z boleścią wspominały chwile różnych
kłopotów: jaki to świat był dla nich niewdzięczny,
jak ich to ludzie uczyli rozumu.... A czas migiem le-
ciał przy kądzieli. Dopiero było rano — już wieczór!
I tak codzien zmniejszały się godziny ku zimie... Słon-

ka nie długo widać, coraz to krócej... Za to może w innych krajach świeci, myślały sobie.

— Tam, kany mój Józus... — dodawała Margośka. — Nie widać listu!

— Może przyjedzie, abo przyśle co piniędzy — pocieszała Jagnieska.

— E, po szczęściu! Żeby choć doniósł co o sobie...

— On tu doniesie, nie tróbuście się! Ino, wicie, nima kogo, coby mu napisał...

— Tam są nasi...

— Któż wie, kany? Dopiero proś, kłaniaj się. Najlepiej, żebyś umiał sam...

— Bieda i nie umieć, wielka bieda! Ale szkół nie było drzewiej... któż nauczył?

— Dyc też o to, moiściewy! Bieda człeku.

Labiedziły nad sobą i światem całym... Zawdy miały o czym gadać. Tematów nie zbrakło. Było im nieźle razem, bo wieczory długie, drzemanie nadlatuje samo. Odpędzały je gwarą, przędy i polecały Bogu wszystko złe na świecie. Zosia łuczywo ucierała w świeczniku — i nieraz zesiedziały razem do północka, albo i dłużej...

W jeden wieczór niespodzianie przysła synowa Chyby.

Margośka się uradowała, zobaczywszy ją w progu.

— Idzie Haźbieta z kądzielą! — zawołała. — Bedzie nam weselej...

— Dyc idę, bo nie porada jednej nici uprząść...

— Cóż się tam dzieje?

— Brewerje, padam wam, że ani... ani słyszeć nie chcę.

— Siądzże na ławce! — podała jej przęślicę. — Czy sie co stało, czy co, żeś taka nie swoja?...

— To nic nie wiecie?

— No nic. Dyc sie nie ruszamy nika z chałupy...

— O, czy was też!... Edy cała wieś gada o tem...

— O czym? — spytały obie naraz, wstrzymując wrzeciona.

— Dziandziary Sobka wzięni...

— Ratunek! E, za co?

— Przysli dziś, jak wieczerzał i pojęli go ze sobą do heresztu...

— Cóż on takiego zbroił? Wszyscy święci!

— Ho! Co zbroił... pytajcie sie! E zabił chłopca na Skalistnem.

Słuchającym oddech się zatrzymał.

— Zbój taki, że i szkoda heresztu la niego. Powiesić hycla, to sie upamięta...

— Co ja słyszę! co ja słyszę! — szepnęła Margośka.

— Niech was Bóg broni, jaki to obwieś był zawzięty! Co ja od niego wycierpiała....

— Ale nie wiesz, jak sie to stało?

— Cobych nie wiedziała! Pili razem w karczmie z Tomkiem ze Skalistnego, z tym, wiecie, co to po niebożycze Tekli...

— Dyc-ech znała. Wieczne odpoczywanie!

— Pili razem i pili, aż sie zmrokczyło...

— Kiedyż to było?

— Dy przedwczora, kie to taki wiater był straszny...

— Z poniedziałku na wtorek.

— No i, wicie, przy pijatyce jeden drugiemu cos pedział, ino nie wiem, kto zaczął, bo żyd mówi tak, a chłopcy znowu inaczej... trudno wymiarkować. Dość, że sie, wicie, pokłócili rzetelnie. Oniby sie byli już w karczmie bili, ino ich chłopcy ozerwały... Z tego jankoru Sobek poczał pić i pić, wreszcie żyd mu nie chciał dać okowity. Toż to on na żyda! Żyd uciekł do alkierza i zamknął się na skóbel. Z tej złości Sobek rozbił szynkwas i potłukł wszystko szkło na drobne kawałeczki...

— Co to za dusza wściekła!

— Dy powiedźcie!... Wreszcie ni miał już co robić i poszedł. A na małą chwilę przed nim wyszedł Tomek...

— I tak sie zesзли!

— Nie wiedzieć, jak to było. Bo Sobek powiada, że spotkał idący Tomka i wsuł mu parę pięści, nic więcy...

— Czegóż trza było!

— A insi znowu mówią, że go młócił potela, pokiela zdołał. Co zemgłał, powiadają, to go krzesił wodą i tłukł, pokiela nie dobił...

— Prędzej, że tak...

— Nic my w chałupie nie wiedzieli. Aże dziś dopiero sam sie wygadał. Ale on nie wiedział, czy ten żyje, abo co, dopiero dziandziary pedziały, że umarł...

— Bedzie on miał za swoje!

— Ba! Człeka zabić, to przecie nie co inszego...

— A cóż stary?

— E wścieka sie, nie wiedzieć na kogo! Sam wychował takiego zbója...

— Od czasu nie wróżyli dobrego Sobkowi, od czasu! Ale ociec winien. Bo wiecie, jak on go uczył od mała? „Jak cie kto napastnie” — powiada — „weź kamienia i wal w łeb!...”

— Nie poszła w las nauka...

— Dy widzicie!

— Skąd też ta takiego sumienia wziął, moiście-wy! — mówiła Jagnieska. — Człek przecie nie bydlę, ani co, żeby sie tak pastwić!

— Skąd też to taka straszna zewziątka?

— Pytajcie sie! — odrzekła Haźbieta.

— Dyć trudno miał tak bez powodu...

— Wiecie, że na dnie złęgo babski powód siedzi...

— Może i to być...

— Nie gadam, bo nie wiem—ciągnęła Haźbieta— ale mi sie wszystko widzi, że tu o Hankę poszło.

— Kozerową?...

— Juści, że o nią... bom słyszała, że jej Tomek odniepadł, skoro sie dowiedział, że już chodzić ni może...

— To z nią tak źle?

— My już widziały od miesiąca. Lada dzień może sie spodziewać...

— Mościewy! Któż ją tak unieszczęśliwił?

— A no szczęście, skoro je znalazła. Nie trza daleko szukać...

— Pewnie Sobek?

— Dy nie kto inny...

— No wicie, wicie, co ja to nie słyszę — cudowała się Margośka. — Bedzie ta miał Kozera pociechę... Mocny Boże!

— Jego wodziło, a córkę uwiedło...

— Hej!

— Dyć tak banował za Sobkem. To mu Bóg nagodzi Sobusia... niechże ma.

— O ludzie! ludzie! Co sie to dzieje na tym świecie... raty przeraty!

Przędły jeszcze długo we wieczór, ale nici nie wiele przybyło na wrzeczona. Opowiadania za to snuły się bez przerwy, jedno z drugich. Siedziałyby do rana, ino że świecić niema czem.

Rade nie rade złożyły kądział o północy. Hażbieta się odziała.

— Nie chodź jeszcze! — prosiła Margośka. — Posiedzimy se po ciemku i bedzie.

— Kiedy muszę!

— Dyć kanyż ci tak pilno? Żal ci chłopca...

— Boże! Z takim chłopem... Ani mi nie gadjacie!

— Dobry człek...

— Dyć dobry... ale co mi z tego?

— Talant ma...

— Wieczny dumac! Przejęty myśliciel!... Eh, szkoda i gadać. Bądźcie zdrowi!

— Uciekasz?

— Muszę! Bo jakby stary postrzegł, że mnie ni ma, miałabych za swoje!

— No to idź z Panem Bogiem... ale jutro przydziesz?

— Jak ino chwilki doprasnę... przylecę! Dobrą noc miejcie!

— Dobrą noc, Hażbieś...

— Poćciwe kobiecisko! — mówiły, gdy wyszła. — Zajrzy ta przecie do nas...

— Niech jej Bóg nagrodzi!

Hażbieta co wieczór przychodziła z kądzielą. Przędło im się dobrze we troje. Zosia na boku stała cichutko, ucierając węgle na ślajzach¹⁾). Łowiła każde słowo skwapliwie, choć niby nie rozumiała wiele z tego, co mówiły.

Dowiedziała się jednak, że Hażbieta nie rada Jaškowi, że Chyba klnie i psioczy i o byle co Wojtka bije, że nie porada wytrzymać przy starym, jak się zaje — dużo, bardzo dużo się dowiedziała.

— Szkoda Wojtka! — myślała se czasem. — Biją go tak i biją... mocny Boże! Ani skrzypiec nie weźmie do ręki, biedny Wojtuś! Czemu on do nas nie zajrzy? Pewnie się boi... juści pewnie! Zbiliby go za to...

— Utrzyj węgiel! Od czego stoisz? — karciła ją matka — takie sie to tępe robi, nie wiem z czego. Wiecznie cosi mamra do siebie...

¹⁾ Ślajze — bukowe łuczyno (niem. Schleise).

— E, jak dziecko! — broniła Jagnieska.

Zosia połykała wtedy łzy, nic nie mówiąc. Żal uczuwała do matki, a potem złośliwe zadowolenie, że przecie mama nie wie, o czym ona se myśli. Na despet jej nie powie... niechże biją!

Matka jednak mało na nią zwracała uwagi, mniej niż się Zosia spodziewała. Za to o Józku myślała często.

— Biedny Józus! Jak on tam co robi? Jak sobie tam radzi wśród obcych... Boże, Boże! Ujrzę ja go też kiedy? Żeby stać się jaskółką, choć na małą chwilusię zalecieć!... Ptakowi dałeś Panie skrzydła, a nam nie... wóla Twoja!

— Niezmierzone wyroki — szepnęła Jagnieska.

— Od czasu, jak pojechał... ani słoweczka. Ani marnej literki! Niedobre dziecko, oj niedobre! Napędziłaś mu przecie, jak odjeżdżał we świat: „Piszże też Józus, pisz! Nie zabaczuj o nas moje dziecko...” Ale cobyś! Ty matko gadaj, co chcesz, proś, zaklinaj... nie usłuchnie. Bo jemu świat pachnie i miłsi ludzie obcy, niż swoi... Wykołysz to na rękach, naucz mówić, to ci sie tak odpłaci! Pokiela chodzić nie umie, to z daleka wyciąga ręce, szepleni „mamo, mamo!” i czołga sie na piesku... A jak odrośnie, mocny Boże! opuści z letkiem sercem, idąc we świat i nie obejrzy sie na ciebie... nie obejrzy! Dyć, żeby choć jedno napisał: „Dobrze mi tu”, abo „Zdrów jestem, nie trapie sie”, toby mi lżej było na sercu. A tak, łam głowę biedna matko! Nikt cie nie pocieszy... nikt cie... nie pocieszy...

Codzień tak labiedziła Margośka nad swoją dolą i nie raz na dzień płakała na samo wspomnienie.

Aż jednego dnia wpadł niespodzianie Wojtek, wołając w sieni głośno:

— List! list!

— Od Józusia? — skoczyła ucieszona matka.

— Ale wam nie dam! — śmiał się Wojtek — bo nie przeczytacie...

— Mocny Boże! Żebych to umiała!

Uczuła naraz wielki żal do kogoś... W jej sercu zrodził się cichy wyrzut, nie wiedziała dobrze dla kogo.

— Żeby mnie uczyli! — szepnęła cicho. — Poznałabym se każdą literkę od Józusia...

— Co też ta pisze? moiściewy...

Zbliżyła się Jagnieska.

— Józus! — wołała Zosia, gramoląc się na ławę, gdzie usiadł Wojtek i paznokciami obrywał brzeg koperty.

Trzy głowy pochylili się nad nim, trzy serca uderzały niecierpliwym taktem.

— „Najukochańsza mamol!” — czytał Wojtek.

— O, moje dziecko! — zaszlochała Margośka.

— Dyc słuchajcie, potem bedzicie płakać! — uspokajał Wojtek i czytał monotennie:

„Najsamprzód pozdrawiam was po niezliczone razy i dowiaduję się o waszem zdrowiu i powodzeniu. Co się tyczy mnie, to dzięki Bogu jestem zdrów, a powodzenie moje jak we świecie...”

— Chwała Bogu! — szepnęła Margośka.

„Robię na cegielni od świtania do nocy, ino na obiad chwileczkę mam wolną. Zarabiam ino po styrycet grajcarów, bo teraz zima, to mniej płacą. Za to na wiesnę, da Bóg doczekać, zarobię więcy, to wam przyślę. Nie markoćcie se moja mamu, obchodźcie sie ta jako, bo i na mnie bieda. Trza robić ciężko nie letko, a praca mała ledwo starczy. Ludzie się zewsząd garną po zarobki...”

— Nie gadałach mu, jak odchodził!

„A tu o robotę bardzo trudno. To się nie dziwicie, że wam piniędzy nie posyłam nijakich...”

— Mocny Boże!

„Zarobię co, to przejem, nie zwyży się nic nadto. Jak pojedzie Józek od Chlipały, to wam przyślę nim chustkę na głowę. Bedzicie se mieć do kościoła. Więcej niema nic ciekawego. Ino Leonowi z Brzyzku urwało nogę...”

— O ratunecku! Bedzie ta mieć biedna matka, aj bedziel...

„Reszta są zdrowi, dzięki Bogu, i powodzi im się jednako. Mrozy wielkie i zimno, a w przeszłym tyżniu lało... Madziary, strasnie zajadły naród! Katędy biją naszych. Trza im zdaleka ustępować, bo człek życia niepewny przy lada okazji...”

— Co za naród! widzicie...

„Za to Słowiaki strasnie rade nas widzą i niewiela odmiennie mówią od nas, ale dobrze trza uszów nadstawiać, by ich zrozumieć. No i tyle. Napiszcie mi, co u was słyhać? Czyście zdrowi? Czy hrube śniegi zwały te zimy? Kto się ożeńił? Kogo na smen-

tarz zawieźli? Boch ciekawy!... Naostatku pozdra-
wiam was mamó i ciebie, Zosiu. Słuchaj też mamy,
słuchaj, pokiela żyją. A o mnie przecie nie zaba-
czujcie doznaku.

Kochający was *Józek*“.

— No i tyle!

Wojtek odetchnął ciężko.

— Dyc pono tu jeszcze cosi? — wskazała matka
na parę rządków u dołu.

— To już la mnie, nie la was! — odrzekł z du-
mą Wojtek.

— Co ci pisze?

— Nie Józek, ino ten, co list układał...

— Nie powiesz nam?

Wojtek zawahał się chwilkę, wreszcie z uwagą
odczytał:

„Nie wierzcie zgoła temu, co powyżej stoi, bo ja
tak pisał, jak mi dyktowali...“

— Więcy nic?

— A nic.

— I któż podpisany?

— Nieznajomy znajomy.

Smutne milczenie stanęło na chwilę między niemi.
Margośka wsparła brodę na dłoni, zadumana.

— To nie prawda... — potrząsnęła głową. —
Józuśby mie tak nie oszukował. To śpas, nic więcy...

— Pewnie, że śpas! — dodała Jagnieska.

— Mój Boże! Jaka to bieda nie umieć! Sam
by se ułożył i napisał... No, ale chwała Bogu, że choć
zdrowy. Lżej mi bedzie na sercu... drogie dziecko!

— Jak on to pisze, moi kochani? — pytała Jagnieska — że pono śtyrycet zarabia... Kielo to jest?

— Śtyry szóstki po naszymu...

— To mało!

— Bo roboty ni ma, jak w zimie...

Wojtek uśmiechał się, rad z czegoś.

— Tam nie tak źle! — powtarzał.

— E he! — przedrzeźniała mu Zosia. — To idź...

— A pódę! — śmiał się — pódę!...

— Trzaby mu odpisać — rzekła po chwili Margośka.

— Dyć jakże! — dorzuciła Jagnieska.

— Napisze sie mu, niech przyjedzie. Ma tam zmitrężyć zimę, toć i tu jest miejsce la niego. Zarobi teło, abo więcy, a na życie nie wyda...

— Słusznie macie! Na wiesnę potem jechać może.

— Jak bedzie chciał.

— Napłszciel!

— To też Wojtuś napiszesz — prosiła Margośka. — Powiew ci jak, ino, że papieru ni ma w chałupie...

— Dyć ja mu sam powiem, jak zajadę.

— Kanyż byś jechał?

— E do Pesztu!

— Nie bajże, dziecko, nie baj... Masz ty rozum?

— Wiesz ty, jak to daleko... w obce kraje — mówiła Jagnieska.

— Dyć nie za morzem — odparł, stając na środku izby — a choćby i za morzem, to nie cuda! Na sam kraj świata ludzie idą...

— Masz to o czym?

— Pomagałech w kuźni Jaśkowi, toch zarobił. Na drogę mi wystarczy, nie bójcie się!

— Pozwoli ci to ociec?

— Enę, bo się go będę pytał, myślicie? Coby mie zbił na odchodnem?... Nie głupich! Dyc by mie chrestna matka, co dzień prał, żebych nie uciekał... Jak się rozje na kogo, to na mnie odbije... taki ociec! Radbych wiedzieć, co on też ino z paskiem zrobi, jak mnie nie będzie...

— Wojtek! — zaleciało z wiatrem od traca.

— Hażbieta cie woła...

— Trzaśić! Jak to słoneczko leci, to strach!...

Już śródpołuń. Czuję, że mie ta bicie nie ominie... Ale niech ta! Niech se ociec użyje na mnie, choć ostatni raz...

— Nie gadajze!

— Ostańcie z Bogiem. Ja tu przylecę jeszcze, nim odejdę...

A nachylając się do zadziwionej Zosi, szepnął cichutko:

— Powiem ci cosi na ostatku...

— Teraz powiedz... no powiedz!

Przytrzymała go za rękę.

— Nie, jaże pódę we świat...

Wydarł jej rękę, której się trzymała, jak pajak drobnymi paluszkami i zniknął w sieni za drzwiami.

— Co on mi też powie?—pomyślała Zosia i radowała się naprzód ciekawością.

Matka, kiwając głową, nie mogła wyjść ze zdziwienia po niespodzianem oświadczeniu Wojtka.

— Spodziałbyś się tu!

Jagnieszka nie dziwiła się niczemu. Ona już dawno przestała się dziwić.

— Może on i naprawdę myśli o tem... przejęty skrabi!

— Dyć widzisz Jagnieś, jacy to ludzie teraz... ledwo się odkołysze i już we świat!

— Z rozumem na świat przychodzą, moiściewy! Drzewiej, starego byś nie wygnał ze wsi kijem. Chciałoby się mu tłuc po świecie?

— Dyć widzisz! Młodzi idą sami. Dadzą se rady w obcych krajach.

— Co to nastaje na tym świecie!

— Wszystko się przewraca...

— Ruminuje...

— Ja ta nie powiem, jak i Wojtkowi, żeby ostał. Niech idzie, a niech się Chyba dowie, że nie na to są dzieci, coby je bić. Skoro go dłuższy czas nie ujrzy, to się nauczy syna kochać. Sobka się nie tknął... bo Sobuś! Za to tę pobłażliwość na drugim odbijał. Taki ocieci!...

— Rozumu kijem nie wpędzi... to już darmo!

— Ale dyć rozum chłopak ma większy, jak insi... Nie kijów mu trza, ino ręki! Opiekuńcze ręki.

— Święta prawda! Bo i ja baczę jak mnie za młodu prowadzili. Dobrocią mógł mnie zawieść do piekła, za to złością nikt ze mną nie poradził. Czem więc bili, tem ja gorsza! Tak było i z macochą...

— I zawdy tak bywa, jak ojce są ladaco...

— Nieinaczej!

— Co on mi też powie? — myślała Zosia, stawiając na oknie dom z cienkich patyczków.

Jagnieska doprzędała kądziel, Margoska zaś nici uprzedzione zwijała na motowidło, licząc uważnie po trzydzieści na każde pasmo.

— Śtyry... pięć... sześć... Chwała Bogu, że choć zdrowy!... siedem... ośm... Bieda, jak se nie umie sam napisać... jedenaście... dwanaście... lepiej niech przyjedzie na święta... trzynaście... milej nam będzie razem... piętnaście... to się ucieszymy we troje... czworo... oho! już! Zmyliło mi się...

Poczęła rachować od początku namotane nici.

VIII

Na drugi dzień rano Wojtka nie było.

Myśleli wszyscy, że się schował po wczorajszej wieczerzy, przy której ojciec urwał pasek Szukali go w szopie, na boisku... napróżno!

— Pewnie na wieś poszedł na wander...

— On tu wróci! — rzekł stary — sam przydzie do ręki...

Nadchodzi południe — Wojtka niema... Nadchodzi i wieczór — o, Wojtka nie widać!

— Cóż to takiego? — myśli stary, ale się wnet uspokaja: — On tu przydzie na noc!

Układał sobie już naprzód, jak go ma przyjąć... Po wieczerzy jeszcze długo siedzieli w milczącym oczekiwaniu, ale nikt nie nadszedł.

Nazajutrz, skoro świtało—zerwał się Chyba z legowiska...

— Jest Wojtek? — spytał cicho.

— Ani Wojtka, ani żywej duszy... — odpowiedziała zaspana Hażbieta, opasując jedyną spódnicę.

— Kiż djabli! — począł się stary niepokoić. —
Już drugi dzień... Kanyż Jasiek?

— E na tracz! Kanyżby inędy?

Ugotowała śniadanie i bydłu polała jadło w cebrzykach.

Skoro wstali od miski, odezwał się Chyba, tłumiąc gniew:

— Idźno Haźbieś, idź po tego hycla... niech przydzie! Powiedz, że mu wszystko daruję.

— Uwierzy mi?

— Idź, kie ci gadam!

— A polanie?

— Pomoże ci zanieść, jak przydzie. Ja nie na to synów chował, coby za nich robił!

— Kanyż pódę?

— Wszędy idź i szukaj, dopokąd nie najdziesz. Ani mi sie pokazuj bez niego!

Haźbieta zaszemrała cicho, zaodziała chustkę i poszła.

Chyba tymczasem izbę uprzętnął i usiadł na ławce. Nie mógł jednak długo usiedzieć; gniew go szarpał za gardło. Godziny szły, słońko się podnosiło zwolna.

— Kiż to djabli! — powtarzał, wyzieraając przed sień.

Uspokoił się potem. Zdało mu się, że już lada chwila nadejdą.

— Nie porada, żeby dłużej siedzieli... już polednie!

Teraz ino to miał na myśli, jakby tu godnie Wojtka przyjąć...

— Paska nowego szkoda... Czemby go tu...

Pozierał po ławach i po kątach. Nic takiego nie znalazł.

— Aha! Już wiem...

Zbaczył se, że ma stare portczyska w komorze. Pamięta, że był przy nich pasek. Musi być, jeżeli go Wojtek nie oderznął... Poszedł, wy dostał je z pod sąsiedka...

— Jest! Chwała Bogu — szepnął.

Przyniósł do izby, siadł i począł wypruwać ośniedziały rzemień.

— Zjesz mi ty, aj mi ty zjesz! — myślał sobie. — Ja cie tu przecie raz nauczę przykazań boskich: Nie uciekaj z domu rodzicielskiego, hyclu, kie ci dobrze... To ja sie na to o ciebie starał ciężko nie letko, żeby takie mieć skrzepienie na starość? Na toch cie chował od maleńkości — huncfocie! Nie bedziesz ty robił swoim dumem... Raz sie to musi skończyć! Bedziemy widzieć, czyje na wierchu... Aboś ty ociec, abo ja! — wrzasnął na końcu groźnie i spojrział ku drzwiom.

Kot przerażony, który przed chwilą usiadł na progu, schował się milczkiem za drzwi. „W takich razach najlepiej zejść z oczu“ — pomyślał se i długo nie pokazywał się w izbie, choć mleka jeszcze nie dostał... Ta nie zginiel co się odwlecze...

Chyba siedział i czekał. Już się mu to za długo zdawało... niechno wróć!

— Matko Boska! Dejże też, coby wnetki przyszli, bo mnie krew zaleje doznaku... Porachuję ci kości, to cie żadną miarą nie ominie—huncfocie! Co mie ty

zdrowia kosztujesz!... Tamten zbój taki nie był — a widzisz co z niego? Marnie skapie i zgnije... Tegom się doczekał — Chryste Panie! Zmiłuj się nademną... Choć kto powie: Zły ociec nie bije, nie karze... Dyc karz! Jak ci ręka upada, a ten swoje robi... Popamiętasz ty ni rok, nie dwa, ino mi przydź do garści!

Przed sienią ozwały się kroki. Chyba wstał, złożył pasek we troje i czekał. Hażbieta weszła do izby.

— Kanyż on?

Trząśł się cały i groźnie pozierał.

— Wojtka nima...

— Co pleciesz?!

— Pojechał do Pesztu.

— Nie gadaj mi!!

— Dy idźcie, jak mi nie wierzycie. Tamtej nocy pojechał z Jaśkiem od Cichorza...

— A! Przeklęta godzino! Tegom się doczekał...

Począł w głos desperować... Padł na ławę, zerwał się znowu, chciał gdzieś lecieć... Opamiętał się wreszcie, ale wściekłość go nie opuszczała.

Hażbietą znikła zaraz. Sam zaniósł polanie do stajni, stał przy krowach, gdy jadły, i laskę doznaku połamał na ich kościach. Cieleń zbił, że ryczało, a wychodząc — konewkę cisnął na próg z taką siłą, że ino dągi zostały, rozsypane.

Uspokoił się wreszcie, ale niezupełnie. Chodził po osiedlu i szukał, sam nie wiedział — czego.

— Komornicy! psie dusze! Oni temu winni! Ściągali go do siebie... Słuchał ich ten huncfot! Ale ja kiep,

żech cierpiał tych dziadów przeklętych!... Ten z Pesztu mu naschlebiał, naobiecował... i usłuchała gadzina! Bo jak taki? Rozumu ni ma za pół centa. Psie dusze! Nie daruję! Chałupę ozwałę! Niech umarzną! Niech skrepną!

Zrobiłby to może, ale wcześniej. Teraz ino kłął i pomstował, aż rozlegało się po całej wsi... Ludzie wiedzieli, że to już ostatki gniewu. Najgorszy wtedy, jak nic nie gada — powiadali...

I do izby Margóski dolatywały przekleństwa staroego. Przerażone, słuchały przez okno głośnych przewisk...

— Co onemu? — szepnęła Jagnieska.

— Musiał Wojtek pojechać... Juści, że tak... Słyszysz?

— Ale o cóżby na was?

— Dyć on zawdy taki. Stanie mu się co — to nikt, ino ja winna.

— Nie obezwiecie się?

— Cobych się obzywała! Jeszczeby mnie zabić gotów niesłusznie... Po co Boga obrażać?

— Ja mu powiem...

— Siedź-że, siedź, nie wychodź. Wyklnie się i ustanie. Dyć nieraz tak. Boże! co ja już wycierpiała... niechże i to będzie na większą cześć i chwałę Twoją!

Wiatr przynosił głośne klątwy.

One milczały, siedząc każda przy swojej robocie. Jagnieska przędła jeszcze pozostałe kłaki, Margoska ziemniaki skrobała na obiad. Co dzień jedno! Jedno i to samo.

— No i, widzicie, Wojtek poszedł — zaczęła Jagnieska.

— Miał się obrócić, nie obrócił... Kto wie, czy on ta powie Józusiowi?

— O, powie! Coby miał nie pedzieć?

— Ino, kto wie, czy zajdzie do Pesztu...

— Chyba nie on!

Zosia się nagle rozplakała.

— Co ci to Zosiu?

Przelekła się matka.

— Obiecał mi coś pedzieć! — mówiła, zawodząc serdecznie.

— O bajano! bajano! Cóżby ci powiedział? Spasował...

— Ehę! Juści! Bo wy go nie znacie...

— I o to się ślimaczysz? — śmiała się już matka.

A Zosi takie łzy szczerze płynęły z oczu, jak rzadko. Ale nie dużo ich było i wnet się ustanowiły.

— Dziwne te dzieci — myślała matka. — Już płacz... już śmiech, na zawołanie!

— A ten Peszt... daleko to? — spytała Zosia tak poważnie, że i Jagnieska roześmiała się przy kądzieli.

— O dziecko! dziecko... przeżegnajże się też!

Odtąd Zosia nie pytała się o nic. Ale posmutniała bardzo.

— Co on mi też miał pedzieć? — rozważała sobie cichutko.

Minął dzień wartko i jeden i drugi. Przekleństwa starego Chyby poszły w niepamięć. I on już zapewne nie myślał o Wojtku. Wyrzekł się go przy ludziach,

a co się w jego sercu działo, to nikt nie wie. Spochmurniał jeszcze bardziej i zaciął się w sobie.

Coraz mniej ludzi przychodziło na tracz, do młyna tylko przynosili ziarno z konieczności. Na traczu pustki były, tramów nie zwozili. Satrowie czasem rznąli, ale coraz rzadziej... Mimo to Chyba coraz częściej na traczu przesiadywał. Majstrował coś przy kołach, to przykopę naprawiał — ale najczęściej łąził tylko bez żadnego celu. I nieraz się na Jaśka zapatrzył przy robocie i nieraz pół dnia przestał, lub na deskach przesiadział nad wodą...

Zima. Śniadanie jedli wczas, odbyli bydło wartko, a zresztą w izbie nie było co robić. Hażbieta wybiegała do rodziców, albo z kądzielą na chałupy. Nie bronił jej stary Chyba...

— Iść możesz... ino mi sie nie waż za wodę! ani krokiem! Bo jak cie tam dojrzę... rozumiesz?!

Hażbieta, mimo chęci, nie ważyłaby się po takiej zapowiedzi ani spojrzeć w tę stronę... cóż dopiero iść!

I odtąd nie zajrzała do Margoški.

Za wodą jednako czas płynął — dzień po dniu... Śniadanie i obiad, wieczerza i spanie i dwa razy na dzień te same paciorki. Doba za dobą mija bezpowrotnie, a każda wlecze za sobą coraz większe znużenie i ospałość.

— Kiedyż sie ta zima skończy? Mój Boże!

— Dopiero sie zaczęła...

— Taka długa!

— Jak życie mizernego człeka.

— Nikt nie zajrzy, nie obróci sie do nas...

— Dyc tak, moi kochani — dodała Jagnieska. — Jak lato przydzie, to nas widzą i najdą katędy. W zimio siedź, abo zdychaj — nikt sie nie popatrzy...

— Ani do kogo wyjść! Ani z kim zagadać...

— Nieurada gosposiu! Nieurada... Gaździne mogą chodzić, odwiedzać sie wzajem... to ich święto! nie nasze.

— Dyc tak, nie inaczej.

— Komornicy powinni najmniej miejsca ludziom zajmować na świecie, bo tak już Bóg przykazał...

— Dyc nie stoi w piśmie...

— Cóż z tego, że nie stoi? Ale życie powiada, że tak! moiściewy... Do mysie dziury wleźć i to za dużo! Ino żeby sie stracić doznaku, z kretešem!...

— Bajże, baj!

— O wierzcie mi! Bajtek nie układam. Ani mi o siebie nie chodzi... bo cóż ja tam jedna mała odrobinka znaczę? Bedzie mie — czy nie bedzie, to światu jednako... A nawet wam cichutko powiem, żeby sie tu doznaku bezemnie obeszło...

— Co też pleciesz!

— Ino mi o tych idzie, co im żyć nie wolno...

— Któż im broni?

— O, je nikt... Ludzie im nie przeczą. Ale da Ociec niebieski człowiekowi to życie, a sposobów nijakich do życia... i żyjże tu!

— A rozumu nie daje?

— Cóż biednemu po rozumie? Moiściewy! telo, że więcej czuje, co go boli...

Przegadywały się tak nieraz i długi czas, a po-

tem obie spłakały się nad swoją dolą komorniczą. Zaś
innym razem mówiły o ziemi, o tej ziemi, co jej tak
dużo na tym świecie...

— Nie la wszystkich!

— O Jagnieś! cóżby wszyscy mieli? Nie dostało-
by się im ani...

— Choć po morgu!

— Cóż to płaci?

— Nie byłoby przynajmniej zazdrości na tym
świecie...

— Eńę! musiałabyś chyba naturę ludzką prze-
inaczyć.

— Nie wiem, ktoby się też zajadał, jakby miał
telo, kielo mu potrzeba?

— A wiesz ty, kielo mu potrzeba?

— Coby wyżył...

— Też o to idzie, że jednemu świat za mały,
a drugi nima kany głowy skłonić i nie krzywdzi se.

— Bo je głupi!

— To my wszyscy głupi. Ale darmo! Cóż będzie-
my robić? Nie my, ino wóla Boska nami rządzi.

— Edyc tak, tak. Ale gosposiu! Żeby to były
moje rządy na tym świecie...

— Oj, biedna biedo!

— Musiałabych przecie tak zrobić, żeby się nikt
nie skarżył...

— ?

— Nikogobych nie naganiała do roboty. Ale by
każdy miał, co się mu patrzy...

— Pan Jezus z ludźmi nie mógł se dać rady, a człekby se poradził? Nie wierz temu, Jagnieś...

— Bo mnie to gorzy, jak ja widzę, że tyle po wsi biedy...

— A jedni drugich obdzierają, jak wilcy, nie ludzie!

— Jakby miał każdy, co sie patrzy... jakby wszyscy mieli...

Bezdomni o chałupie — chałupnicy o roli myśla... a gazdowie?

Siedziały nieraz długi czas we wieczór, narzekając na ten świat niewdzięczny, reformując go podług przykazań boskich... aż ich drzemka nadlatywała niechcący. Szły spać, a na drugi dzień opowiadały sobie nawzajem dziwne sny.

— Zdało mi sie, — mówiła raz Jagnieska — że idę stromem urwiskiem po nad wodę i szukam czegoś, nie wiem — czego... Wtem słyszę koło siebie turkot wozu i dzwonek mię doleciał z niedaleka... Drapię sie i stermam wśród jałowców, jazech sie wydostała na gościniec. Turlikanie wciąż słyszę, nie ustaje. Lecę ja za tym głosem, moiściewy, aż niedaleko mostu spotykam: wóz, konie czarniutkie i księdza... Pewnie do choroego! myślę sobie, i klękam. Ale ksiądz woła, kiwa na mnie i woła: „Kobieto! kobieto!” Juścić podeszłach ku niemu. On, wicie, złazi z wozu, zdejmuje z piersi Pana Jezusa, wkłada na mnie i mówi: „W tej chałupie ni-ziutkiej za wodą leży chory... Siadaj i jedź! Same konie cie powiozą...” Ja sie wymawiam, jak mogę, ale ten nic, ino: „Jedź i jedź bez most, bo ja niegodny — pa-

da — żebych tę wodę przejechał...“ Rady nie rady — co było robić?... Konie ruszyły, jadę, jadę... Przyjechałam na środek mostu, ściskam tego Pana Jezusa z taką czcią i bojaźnią... nagle — remps! most sie łamie — ja z wozem pod wodę...

— Ratunek! — szepnęła Margośka.

— Wydobyłam się przecie na wierzch, ale wóz i konie zabrało... Ja sie gratam do brzegu wszelkiemi siłami, a woda mię unosi coraz dalej... Modłę sie, wołam na wszystkich świętych po imieniu — nikt nie przybywa! I w strachu wielkim, że mię woda weźmie i Pan Jezus utonie razem ze mną — przyciskam Go rękami do piersi, co sił... Wtem sie ludzie zjawili, podali mi osękę i wyciągnęli na brzeg pół martwą...

— No, chwałaż Bogu!

— Alech nie poszła z nimi, ino, stojąc na brzegu, lamentowałam i pozierałam smutnie ku niskiej chałupinie za wodą. Zbudziłam sie, a jeszcze mię serce bolało...

— Coby to miało znaczyć?

— Bóg wie i Stróż anioł — odrzekła Jagnieska.

— To dziwne! bo i mnie sie podobnie śniło...

— Opowiedzcież!

— Kie już tak dobrze nie pamiętam...

— Choć troszeczkę! Mamusiu! — dopraszała się Zosia. — Ja tak rada słucham, a nigdy mi sie nie śnije...

— To słuchajże dziecko i ty Jagnies...

— Mówcie, bo słuchamy.

— Śniło mi się, żech była w kościele przed ołtarzem Niepokalanej... a miałach przy sobie Józusia, niby małe dziecko, takie, jak to matki na wywód noszą. Modliłach się gorąco i ochwiarowałach to dziecię Przenajświętszej na Jej cześć i na chwałę. Ale mi ciężył na ręku, bardzo ciężył... Co ja nie robię! Zbliżam się i kładę na ołtarzu, a potem wyjmuję sobie zęby po jednemu i daję mu do zabawy... I kiędych już ostatni ząb wyjęła la niego, wtedy widzę, jak się Najświętsza Panna ku mnie z obrazu wychyla i przyzywa mię ręką do siebie... Zbliżam się nieśmiało, z wielgą trwogą, a Ona, patrząc na mnie litościwie, urywa kawałek świata, jaki miała pod stopami — „Skosztuj” — mówi mi — „tego chleba, jakim ja na świecie żyła...” Z przestrachem biorę, kładę do ust... gorzkie, jak pićłun, twarde! Jak tu jeść, kiedy ni ma ani jednego zęba... ale Ona zachęca mnie wzrokiem, bych jadła. Juści gryzę dziąsłami, do krwi gryzę, a łzy mi się toczą z boleści... Przełknęłach wreszcie. O! powiadam wam, jaka słodkość nastąpiła potem — to nie macie pojęcia! Coś takiego, jak gdyby samego nieba ugryzł, abo rajul!

— I co potem?

— Obudziłach się. Alech tę słodkość do rana w ustach miała...

— Wicie, wicie...

— Naprawdę! Mówie wam.

— Dyć wierzel!—kiwała głową Jagnieska z przekonaniem. — Coby nie!

A Zosia tak się zasłuchała głęboko, że jej pot drobną rosą na czoło wystąpił.

Długo potem rozbierały na różne sposoby znaczenie tych pokrewnych snów. Ale im dłużej myślały, tem bardziej oddalały się od zamierzonego rozwikłania. Więc, polecivszy Bogu siebie i chałupę, przestały o tem myśleć. Bo i nowe zatrudnienia zajęły im czas.

Margośka ziemniaki z dołu dobywała, nosząc do izby koszykami z obawy, żeby nie przemarzły pod śniegiem. Zimie, tak mroźnej, nie było co dowierzać, jak ją uczyło doświadczenie dawne.

Len oprzędły już przedtem — i na żerdce wisiało dwadzieścia cieńszych a ośm grubszych łokci.

Jagnieska zebrała się jednego dnia, by zanieść przędziwo, gdzie należy. Poskładała już łokcie w paruchę, kiedy weszła z pola Margośka.

Pójdiesz ze lnem?

— Juści trza iść...

— Zaczekajże, porachuję, kielo nam to przydzie.

Dwadzieścia łokci cienkich... po kielo?

— Po szóstce.

— To dwa reńskie. A ośm grubszych po pięć centów — to będzie... styrdzieści.

— Chyba więcy!

— Nie, dobrze. Dostaniemy każda po dwanaście szóstek.

— La Boga! Cały miesiąc...

— Taki to zarobek! Ha, co robić? Życ trzeba, to nic nie pomoże.

— To ja póde.

— No idźże. Ale się też wracaj!

— O, cóżbych tam robiła...

— Niech ci Bóg poszczęści!

Jagnieska poszła, brnąc po śniegu i zaspach po kolana. Z ciężką biedą dopchała się do chałup.

— Żeby ino zastać gospodynie!

Modliła się i rachowała drogą, wiele od której ma dostać za uprzedzone łokcie.

Pomyliła się jednak w niedużych nadziejach, bo żadna gaździna nie pochwaliła się jej, że ma w skrzyni jakie pieniądze. Wszystkie prawie były rade, że im tak wczas odniosła — raczyły ją śniadaniem, ale żadna nie napomknęła o zapłacie. A gdy Jagnieska, mając do jednej większą śmiałość, sama się przymówiła, usłyszała cierpką odpowiedź, że „ona przecie nie za światem, ba w tej samej wsi, a ludzie z ludźmi żyją...” Tylko ostatnia (już gdowa!) u Sroki obiecała zapłacić rzetelnie za oprzedzone łokcie. Potem zaczęła molestować Jagnieskę, by została u niej na tydzień.

— Pomożesz mi praść, to ci dam jeść, zapłacę i będzie.

— Dyćbych z chęcią, ale...

Zbaczyła sobie, że Margoska już mało ma ziemniaków i do świąt nie wystarczy... a ona tak siedzi u niej popróżnicy i pomaga jeść. Nie grzech to? Jeszcze wielki! Teraz wróci do niej z próżnymi rękami...

— No siadajże! Weź kądziel... O cóż ci to idzie?

— E dyć... nic mi... ino tak... Niewiem, jak to będzie...

— Z czem?

— Z Margością...

— Bajano! Onych tam dwie, to se dadzą radę. Cobyś sie tróbowwała? Pobędziesz u mnie tydzień, a choćby i dłużej... bo przedzenia mam kupę. Zdejm-że chustkę i siadaj.

Jagnieska chustkę zdjęła i siadła przy kądzieli.

— Edyc taki ten dom, jak i tamten... Nikany wiekować nie będę — pomyślała...

IX

Margośka napróżno wyczekiwała Jagnieski. Ziemiaki zniosła do komórki z ciężką biedą i pookrywała starami powrósłami.

— No, chwałaż Bogu! — rzekła, skończywszy robotę; tróbowwała się, że przemarzną. — Tu im już nic nie będzie. Alech się też namęczyła... uuf! — oddychała ciężko — nie ma już widać takiej siły, jak dawniej... Teraz ino żeby Jagnieska nadeszła z piniądzmi, to się kupi omasty i będzie. Do świąt wystarczy z pomocą Bożą, a na święta Józus przyjedzie...

— A kie święta? — pytała Zosia.

— Ho, ho! Jeszcze precki...

— Józus! — śmiała się Zosia. — A może i Wojtuś z nim przyjedzie?

— Siądzno, siądz! Nie dokazuj! Czego się ty tak ciągle śmiejesz? Ani patrzeć nie mogę na twój śmiech... o Jezus! Jak mię też to krzyże bolą... Mrowce chodzą po całym cielem... uh! Zimno mi... Przyłożno drew na cgień! Niech się pali... Nie widać te Jagnieski, aj nie widać... Cóż to takiego?

Na wieczerzę zjadła dwa ziemniaki i poszła spać.

Nie mogła jednak usnąć, myśląc: to o Jagniesce, to o Józku, to o wszystkim, co się jej nasuwało przed oczy... Myśli pędziły szybko, jak woda na przykopie... Płynęła z wodą razem, bez pamięci... naraz woda spadała na młyńskie koło, a ona się zatrzymywała w przestachu, dzwoniąc zębami... Wówczas ją zimno oblewało i krew się ścinała w lód. W trwodze najwyższej poczyniała krzyczeć, ale głos jej zamierał na wargach... Zbierała tedy wszystkie siły, by się choć trochę poruszyć — i z całym wyteżeniem zrywała się z pościeli, otwierając oczy... „Jezus! Marja! — szeptała przełknięta — „jak mnie pali we wnętrzu... pić! pić!“ Szukała konewki po ciemku, a znalazłszy, gasiła zimną wodą ogień wewnętrzny. Powtarzało się to często — bo, ile razy zamrużyła oczy, zjawiały się te same sny i męczące widziadła.

Nad ranem chwilkę zemzała spokojnie i zbudziła się nieco zdrowsza.

— Chwałaż Bogu! — szepnęła — że to ino gorączka, nic więcy... Może przecie odejdzie, jak wstanę.

I zwlokła się powoli z łóżka, choć jej w głowie szumiało wciąż, a nogi dygotały pod nią.

— Czy się mamie co w nocy zdawało? — pytała Zosia.

— Oj zdawało, dziecko, zdawało!

— Boch słyszała, jakieście jęczeli...

— Zmówże paciorek!

Poszła po wodę, ale przed sienią omało się nie przewróciła, taka mdłość ją opadła na mrozie.

Oparła się o słup i długo stała, ciężko oddychając, zanim przyszła do siebie. Przyniosła do izby konewki z wodą, z wielką biedą, ledwo ugotowała śniadanie. Ale sama nic nie jadła. Kolki ją wzięły, tak silne, że ustać nie mogła na nogach. Musiała się położyć. Nadawszy Zosi robotę, legła na grochowej pościeli i więcej nie wstała, nie dała rady...

Zosia z początku płaczem starała się wywołać matkę z łóżka, a wreszcie widząc, że to nic nie pomaga, poczęła się sama krzątać po izbie. Przypominała sobie, co i jak robiła matka, i powtarzała codziennie to samo, wysilając drobne siły nad miarę.

Z konewkami po wodę obejść nie mogła, to w garnku przynosiła. Drwa nieraz pół dnia szczypała z wielkim mozolem. Wszystko robiła sama, bez nakazu, ino przed każdym gotowaniem zbliżała się do łóżka z zapytaniem:

— Mamol! Co wam dziś ugotować?

— Ugotuj, co chcesz... — odpowiadała zawsze jednako matka.

— To znowu nie bedziecie jeść, jak i wczora...

— Nie nudź mnie też, nie nudź...

Odwracała się twarzą do ściany.

Zosia więc gotowała wszystko na swój domysł, pozierając żałośliwie na łóżko.

Przynosiła potem ugotowane na misce i stawiała przy głowach łóżka na stolku.

— Jedzcie mamusiu...

— Nie będę, nie... Dej mi spokój.

— I jakże? — zaszlochała Zosia. — Teraz nie, potem nie... kiedyż będziecie? Umorzycie się doznaku!

— Ja nie głodna...

— Eę! też to! Cóżście to jedli?

— Tu mam pełno... pełniutko! — wskazywała chora na dołek.

Ustała Zosia, ustała nad łóżkiem, nareszcie widząc, że nie przymusi — brała miskę i odchodziła ku ławie. Nie soliła ziemniaków, ale połykała z niemi słone łyzy...

Wolnemi chwilami stawała nad łóżkiem i pytała troskliwie:

Co wam też to takiego mamusiu?

Margośce wtedy łyzy stawały w oczach, odpowiadała z wysiłkiem:

— Nic, moje dziecko... to przejdzie.

— Powiedzcie, co mam radzić. Może iść po kogo...

— Po kogo? moje dziecko... ktoby ci tu przyszedł?

— Są przecie ludzie.

— To ła siebie żyją... Idź i klęknij. Zmów pacierz, żebych się obaczyła...

Klękała Zosia przy skrzyni i mówiła wyuczony paciorek. A gdy się jej to za mało zdawało, od siebie dodawała prośby, takie proste i rzewne, że chora, słysząc to, łkała na pościeli.

Z ufnością wielką oczekiwała Zosia dnia, kiedy mama wstanie... i nie mogła się doczekać. Może jutro,

pojutrze! Mijały dni za dniami, a polepszenia z nikąd nie było widać...

Chora coraz częściej zapadała w omdlałą senność. Nie widziała nic dokoła siebie, nie poznawała Zosi, która stawała przy łóżku z otwartymi szeroko oczami.

Niekiedy wracała jej przytomność, a za nią gorzkie myśli pchały się ciżbą, dręcząc ją boleśnie i bardziej niż sama choroba...

— Nikt mnie tu nie odwiedzi, nikt nie poratuje... Tak mi już przydzie w opuszczeniu doczekać końca. Napróżno ku drzwiom patrzę, nikt nie zajrzy! Świat sobie żyje, ludzie mrą...

O Jagniesce przestała myśleć. Kto wie, kany się podziała? Za to o Józku myślała często z bólem serca.

— Wychowaj dziecko na pociechę... dokładaj się wszelkimi siłami, troszcz, żeby mu było jak najlepiej! Sercebyś wyjął la niego, całą duszę... A jak cię choroba zaskoczy, Boże ratuj! Ty matko leż na pościeli... nie zajrzy! Przychodzi czas na ciebie, opuszczą siły... nima ci komu iść po księdza, oj ni ma! — labiedziła często. — Ani ja zdrowia, ani ja pociechy za pół centa... Miły mocny Boże!

Na Zosię pozierała zażawionem okiem.

— To dziecko... Ostanie samo, bez opieki... I tak pódzie pomiędzy obcych, jak ja od maluska! na wieczną poniewierkę, na ból... Nie żal Ci Boże tego dziecka?

Leżała blada na pościeli, wyschła doznaku. Twarz poczerniała jak śniedz, a włosy się zlepily w jedno pasmo. Widząc ją, można myśleć, że już dawno życie

z niej uciekło — gdyby nie oczy... wielkie, szklanne oczy.

Zatrzymała się w nich dusza, uchodząc z ciała. Nieskończoność widniała z nich, nieskończoność smutku i beznadziei...

— Boże! — wołała w chwilach większej słabości — Boże! Czemuś mię opuścił! Sierotamiś nas porobił na tej ziemi... Dałeś nam zakosztować męki Twojej... o Jezu! Dźwigaliśmy ten krzyż w pokorze, bez szemrania... Dejże nam cichą chwilę skonu, nie opuszczaj w godzinę śmierci... o Jezu!

Były chwile, w których zdawało się Zosi, że mama kona... Wybuchiała wtedy takim przejmującym płaczem, że napowrót omdlałą przywoływała do życia.

Po jednej takiej nocy, gdy śmierć borykała się z życiem i już... już miała je zadławić — nastąpiło nieznaczne polepszenie.

Serce podskoczyło Zosi z wielkiej uciechy, gdy matka rano zawołała: „Jeść!” Podbiegła ku niej i zapytała nieśmiało, z obawy, by nie spłoszyć ochoty do jadła...

— Co też będziecie mamusiu?

— Z mąki... z mąki!

Uradowanie Zosi wnet uciekło. Ona już od tygodnia je same ziemniaki, bo nic więcej nie ma w chałupie. Co tu robić?

— Może ziemniaka zjecie? — powiedziała cicho.

— O nie, nie!

— To cóż wam dać...

— Z mąki! Ugotuj z mlekiem... prawda! mleka

nima... — spojrzała na Zosię. — O cóż ty płaczesz, dziecko?

— Bo i mąki nima...

Smutne milczenie stanęło między niemi.

Po izbie wiło się ciche łkanie Zosi, za którem wiodła boleść wielkie, szklanne oczy... Oczy te spotykały wszędy czarne widmo. Z pieca, odedrzwi i z każdego kąta pełzała zwolna do światła ślepa jaszczurka — nędza i w snopie zimnych promieni, wpadłych przez zadymione okno, grzała się na środku izby, obracając dokoła niewidome ślepie... W najciemniejszym kącie pod ławą czaił się potwór stuzębny — małe niemowlę — głód... Dojrzały go, idąc za wijącym się po izbie łkaniem, wielkie, szklanne oczy i stanęły nieruchomie, niby kuliste bańki lodu... Zwolna poczęły topnieć, zamieniając się w białe krople...

Margośka zapłakała — i spłynęły na pościel ostatki łez...

— Mamusiu! — szepnęła Zosia.

— Co?

— Ja pódę po wsi... — zająkła się.

— Na taki śnieg!

— Przejdę Bedziecie widzieć! Obuję stare kerpce, odzieję sie...

Margośka na to nic nie powiedziała, a Zosia, przebierając nogami, patrzyła jej w oczy z niemem oczekiwaniem.

— Mamusiu!

Chora z wysiłkiem obróciła ku niej głowę.

— Pódziesz, to idź... Ale to się na nic nie przyda.

— Przecie ludzie mają... — Czemużby nam nie dali?

— Mocny Boże!

— Zosia migiem się zaobuła i zaodziała na siebie mamina chustkę...

— Jakże pedzieć?—spytała, stając przy drzwiach.

— Proś pięknie, niech ci dadzą choćby kapkę mleka...

— I mąki też?

— I mąki, albo ziarna... Choć szczypusień!—

— Dobrze.

— A wracaj też tu, wracaj...

— Coby tam siedziała!

— Moje dziecko! bo widzisz...

Zosia była już za progiem. Przywarła drzwi do sieni i poczęła iść po miałkim śniegu, zmierzając prosto ku ławie.

— Jak to dziwnie w oczach! — myślała — tak się mieni, jakżeby na słońko patrzył... Bieluteńko dookoła....

Pierwszy raz w zimie wyszła tak daleko. Bawił ją ten śnieg, chruszczący pod stopami.

— Zgrzyt... zgrzyt... Boli go, że naciskam... niech boli! — uśmiechała się, stawiając silnie małe, opapuziczone stopki.

Zapomniała na chwilę o chałupie, o wszystkim...

— Żeby to pierze było, zamiast śniegu... rety! Byłoby się poczem walać... Skąd oni tam w niebie taki

śnieg mają?... Pewnie to święci bez całą zimę pierze skubią, potem leci i marznie... Nie! toby odtajało i ludzieby zbierali... Ino tam chowają insze gęsi... albo kto wie...

Niezadługo doszła do ławy; drzewo omarzło i oślizgło po wierzchu. Trzęsła się cała idąc po niem, ale szczęśliwie przeszła. Tu już droga ubita prowadziła do chałup.

Poczęła, idąc, myśleć nad tem, gdzie ma iść najpierw i jak zacząć, jak prosić... Z trwogą przestępowała próg pierwszej chałupy przy drodze.

— Wyżeną mie, to pódę kanyindziej... — pomyślała.

Śniadali prawie, gdy weszła... Pochwaliła Boga i spojrzała najpierw ciekawie, co jedzą...

— Czyjażes ty? — spytali.

— Margoścyna z za wody...

— To już telą dziopinę Margoška wychowała... no wicie! — dziwowała się gaździna, dolewając mleka do klusek.

— Zawołajże jej do miski! — szepnął gazda.

— Coby ci szła! — odrzekła. — Pewnieś już po śniadaniu? — zwróciła się do Zosi.

— Już! — odpowiedziała nieśmiało.

— No, widzisz! — mówiła gaździna. — Oni tam z wczasu śniadają, choć komorniki...

— Bo wstają wczas... nie leżą se jak ty do śródpołuń! — mruknął gazda.

— Nie kuśże mnie na boską obrażę!...

Zosia widząc, na co się zanosi, podeszła do gaźdżiny i obłapiła ją niziutko za nogi...

— Kazali was też tu, mama pięknie prosić, co-
byście mi dali kapkę mleka i mąki...

— Ni macie to kóz?

— Ni mamy, bo mama sprzedali...

— Taak? To matka piniądze zbija, a was na
żebry goni? Dobra matka!

Zosi łzy zakręciły się w oczach. Chlipała powie-
trze, gwałtem wstrzymując się od płaczu.

— Powiedz matce, że ja la niej krów nie chowam,
rozumiesz? Ma u mnie kto zjeść i wypić, żeby ino
było...

Zosia próbowała otworzyć usta, ale za każdym ra-
zem pełniutkie gardło łez... Nawróciła się w milczeniu
i wyszła przed sień.

— Wicie, co to za wychowanie! Nawet nie powie:
„Ostańcie z Bogiem!” — leciało za nią z izby.

Ustała chwilę, nie wiedząc, gdzie iść... Najchę-
tniejby wróciła do domu. Ale się przemogła wreszcie
i poszła do następnej chałupy. Tu ludzie dobrzy wy-
mówili się, że sami nie mają co do gęby włożyć.

Nie lepiej poszło i w sąsiednich chałupach. Wszę-
dy wchodziła nieśmiało, bojaźliwie i drżącym głosem
poczynała zaraz od progu.

— Kazali was też tu mama pięknie prosić...

Ale wszędzie spotykała tę samą odpowiedź: ła-
godną lub ostrą, zależnie od humoru, niewyspania lub
kłótni domowników. Gdzieniegdzie odprawiali ją bez
pytania, indziej zaś pytali się upornie: „Na co? po co?”

jak? Matka — mówili — za darmo nic nie zrobi, nie upytasz jej lekomyślnie, a dziadować to umie!"

Zosia wtedy wołałaby się do mysiej dziury schować, niż tak stać ludziom na widoku. Uciekała czemprędzej i często zapominała rzucić na ostatku: „Ostańcie z Bogiem...”

Dziwiła się ino temu, że gdzie jej mieli wolę dać, a powiedziała, że matka chora — to zaraz wymawiali się byle czem i nie dali. Powtóre się dziwiła, że gdy jaki chłop litościwszego serca wsiadł na babę: czemu żałuje biednej kapki mleka — ta odpowiadała złośliwie: „Jakiś mądry! Dam za wodę i zepśnije¹⁾ mi sie wszystko... wolę psu wylać!"

Obeszła tak wszystkie najbliższe osiedla i już chciała wracać napowrót. Ale jeszcze mając iskrę nadziei, wstąpiła do ostatniej chałupy biednego zagrodnika. Gaździna przyjęła ją bardzo mile, wypytywała o matkę, a dowiedziawszy się, że chora, żałowała ją bardzo, nawet oczy wytarła brudną zapaską.

Czem ośmielona Zosia, pomyślała sobie: „Jak tu nie — to już nika nie dostanę...” i powtórzyła tyle już razy dziś wypowiedzianą formułkę:

— Kazali was też tu mama pięknie prosić, cobyście mi dali kapkę mleka i mąki...

— O dziecko! Dyćbych z chęcią... A czy bardzo mama chorzy?

— O, bardzo!

¹⁾ Zepśnić — zepsuć się.

— Umrze niezawodnie... — zwróciła się gaździna do kobiety siedzącej przy przypiecku.

Zosia zadygotała z przestachu. Cała izba zakręciła jej się przed oczyma, w uszach poczęło szumieć tak, że słowa nie słyszała z cichej kłótni kobiet.

— Ja ci Nastka zawdy powiadam, żeś uparta!— mówiła stara. — Dałaś tej z Gronika mleka przed śmiercią i krowy nam doznaku ostawiły... Musiałaś potem strzępków szukać po umarłej i kadzić... nie pamiętasz?

— Tak, ale to było...

— Niech było, kiedy chciało! Ty starszych nie przemądrzaj, bo źle na tem wyjdiesz... bedziesz widzieć! Praktyki nasze uczą: Nie posyłaj leżącemu na śmiertelnej pościeli, albo mieszkającemu za wodą, ani mleka, ani mąki, ani żadnej rzeczy, która jego jest... bo ci sie wszystko zepśni do imentu.

— Ale przecie...

— Ty nie wiesz — przerwała stara — kiedy na nią godzina przyjdzie... Może i dziś. A do tego one mieszkają za wodą... Była w poprzednich chałupach, czemuż jej nic nie dali? Zastanów sie i uważ se...

— No dyć nie wiem...

— Uważ se, uważ!

Gaździna podumała chwilę, wreszcie z ciężkiem westchnieniem zwróciła się do Zosi.

— Moje dziecko... idź przeproś mamę... ale widzisz sama, że ci nic dać nie mogę...

Zosia odwróciła się machinalnie ku drzwiom i wyszła.

— Pozdrów ich ta odemnie! — zaleciało z izby.

Stała długo przed sienią, bez pamięci. Gdzie była? Co robiła? — próżnoby jej się kto pytał. W uszach tylko brzęczały, jak osy, głuche wyrazy: „Umrze niezawodnie... umrze niezawodnie...”

Przechodziła potem wśród osiedli i chałup, mijając płoty, kładki i wązkie ulice... a nie wiedziała, gdzie, którądy idzie...

Dopiero gdy wyszła na otwarte pole, oprzytomniała trochę. Tylko ból czuła suchy na czole, pod chustką, głębiej jeszcze... Wszystkie myśli były przy matce na pościeli.

— Ratować... ale jak?

Skreśliła chodnikiem na lewo, ku traczowi, nie chcąc już obchodzić na ławę.

— Trza im jeść... ale skąd? Ziemniaki suche... mleka nima... Żeby choć mąki szczypusię! Możeby się jako pokrzepili... Mój Boże!

Przechodziła koło młyna, przy traczu. Mełło się właśnie. Kamienie hurkotały głośno; trzepotał kosz; paprzycą wązką zlatywała biała mąka do skrzyni...

Zosia przechodząc, zajrzała do niej.

— Mąka!... — szepnęła ucieszona, ale zaraz dodała smutnie: — Cóż mi z tego?

Wnet jednak opadła ją natrętna myśl.

— Wezmę garstkę... nic nie ubędzie... zgotuję choć na smak la mamusi...

Wróciła parę kroków i obejrzała się dokoła. Nigdzie żywej duszy! Coś ją wewnętrznie odpychało, gdy zbliżyła się do skrzyni. Ale nic — przechyliła

się, wspinając na palcach, i sięgnęła drobną ręką... Nim jednak palcami dostała mąki, usłyszała nagle wrzask:

— Tuś mi złodziejko!

— Jezus kochany! — odskoczyła od kosza przełknięta.

Od kuźni pędził stary Chyba, dzierżąc w prawej dłoni ułamek deski...

Nie wiele myśląc, rzuciła się przed siebie i poczęła biedz po śniegu prosto ku Kozerowej chałupie. Pot zalewał jej oczy, strach pędził, a przerażały do reszty klątwy starego Chyby, coraz to bliższe... Nogi ustawały jej w miążkim śniegu—dyszała ciężko, ostatnich dobywając sił.

Chyba gonił za nią o kilkanaście kroków... Kerpce mu kielzały — wściekłość go ogarniała, że tej gni-dy nie dopędzi... Zdyszał się równie i spocił...

— Psie krwie! złodziejki! To ja la was mąkę mielę! Niech ja cie ino...

Zamachnął się i wyrzucił z całej siły za uciekającą odłamek deski... Ten w powietrzu zatoczył szeroki łuk — i zdawało się patrząc zdala, że padł i zarył się u jej stóp...

Nagle rozległ się bolesny krzyk. Zosia upadła twarzą na śnieg...

Chyba zdrętwiał. Czempędzej wrócił ku chałupie.

X

Kozera jadł śniadanie pod oknem na ławie, kiedy usłyszał krzyk na polu.

— Kiż to djabli! Cóż sie to dzieje?

Rzucił łyżkę i wypadł przed sień. Dojrzał Chybę, umykającego poza węgły, i o kilkanaście kroków leżącą w śniegu postać. Nie wiele myślęcy, podszedł bliżej i nachylił się nad nią.

— Margoścyna Zośka... hm... zemgłała, czy co? Odchylił z niej łachy i cofnął się nagle.

— Krew!

U stóp jej śnieg poczerwieniał naokoło, tając powoli... Kozera podumał chwilę, podniósł kawałek leżącej deski i obracał go w ręku z wielką uwagą...

— Jest to rozum? — pomyślał — Mógł dziecko zabić jedną razą... Jaki syn, taki ojciec... Zbóje przekłete!

Z widoczną złością odrzucił deskę na bok i nachylił się powtórnie nad leżącą...

— Dychasz ta jeszcze?... Nic nie mówi... musiało ją zemglic.

Ujął ją wpół i dźwignął. Spodnice się podniosły, i Kozera dojrzał pod kolanem szeroką ranę, z której ściekała krew strumyczkami ku piętom.

— O, nic to! — szepnął. — Szczęście, że nieszczęścia nie było... O to nie trudno... Mógł zwalić w łeb, abo kany... Co ja tu z tobą zrobię? Juści trza cię zanieść do izby... bo jakże?

Wziął omdlałą na ręce i poniósł powoli ku chałupie.

— Widzisz! — mówił idący. — Jak cie ma trafić, to cie trafi... Trza było uciekać do ostatka... Okulawili cie żebraku... Bóg świecił, że sie ino na tem skończyło... Masz gorąco Panu Bogu dziękować, jak sie obaczysz... Bo to szczęście, co rzadko po ludziach chodzi... wierz mi dziecko!

Nie wierzyła, bo nie słyszała nic, przewieszona w omdleniu przez lewe jego ramię.

Wszedł z nią do sieni i pchnął drzwi nogą do izby, a stając w progu, zawołał:

— Hanka! Wyłaż!

W ciemnym kącie na łóżku coś się poruszyło.

Kozera podszedł bliżej.

— Wyłaż, pedam ci, z łóżka, bo umartą niesę... rozumiesz?!

A gdy to nic nie pomagało — przytrzymał jedną ręką Zosię, a drugą szarpnął brudne okrycie na łóżku.

— E, rusz-że sie ty suko! — wrzasnął.

Hanka zaskuczała cicho i zwlokła się z pościeli, ale nie mogła ustać na nogach — oparła się o ścianę.

Kozera Zośkę położył na łóżku i nastawił ku niej ucho.

— Dyszy... dyszy... Dejno mi Hanka wody!

A widząc, że dziewczyna patrzy błędnie przed siebie i, oparta o ścianę, nie rusza się na zawołanie—mruknął:

— Cierp, kie ci sie zachciało... zdechnij suko!

Ściągnął z ławy worek, wypchany słomą i rzucił przed nią na ziemię.

Hanka się osunęła na posłanie, postępując chwilkami boleśnie.

— Nie jęcz mi nad uszami! — wrzasnął.

Zacięła zęby i oczy obracała wielkie, załzawione... On konewkę przysunął do łóżka i począł nabierać dłonią wodę, maczając skroń omdlałej... Oddychła ciężko parę razy i otworzyła oczy. Chciała się poruszyć, ale syknęła z bólu i zapadła na nowo w odrętwienie...

— Nic to! Zabiermy sie do nogi... — szepnął Kozera i począł zwolna, uważnie rozobuwać skórzane kerpce.

— Co tu krwie naszło... ratunczku!

Odłożył kerpce i onucki i zabrał się z powagą do operacji...

— Boli! boli! — syknęła Zosia, gdy wodą obmywał świeżą ranę.

— Cicho... cit... — uciszał ją i obzierał się za szmatami. — Onucki trudno maczać...

Dojrzał Hanczyną koszulę na kołku, zdjął i po-

rozrywał na pasma. Zamaczał je w konewce i począł obwijać nogę, idąc od kostek...

— Ojoj! — wrzasnęła Zosia, gdy doszedł skaleczonego miejsca.

— Cicho, cit... — uspokajał. — Ja ci tu wnet...

— Bo... boli!

— Ho! ho! ho! dziecko! dziecko! Ty jeszcze nie wiesz, co boli...

— Jezus! Marja!

— No. Już koniec... Jeszcze ci przywinę suche na wierch. Tak... Teraz spokojnie leż. Cichutko leż, nie ruszaj się... cichutko!

Zosia uspokoiła się zwolna, przestała płakać, tylko w dołkach na zbiegającej twarzy szklily się jeszcze długo spadłe łzy...

Kozera dokończył śniadania, zodziął się i na odchodnym zbliżył się do łóżka.

— No leż-że, leż... A ty Hanka dej poziór na nią! Rozumiesz?

Hanka patrzyła błędnie przed siebie, jakby nic nie rozumiała... Splunął parę razy na podłogę i wyszedł.

— Spełniłech chrześcijański uczynek — myślał se idący — teraz się napiję... O, tak! To sie rzadko trafia... Umarłego nie spotkasz, cobyś go ućwiwie pogrzebał... Nagiego też nie, cobyś go przyodziął... Głodnego... no, głodnych jest dość, chwała Bogu... ale zejdziesz sie to z nim wtedy, jak masz co, żebyś go nakarmił?... Dobrze, kie ci sie chory trafi... bo choć tam nie stoi doznaku: „chorego opatrzeć“, ale to sie

samo rozumie, że i to musi być chrześcijański uczynek... Coby inszego było?... Tak, tak — biedny Kozero... zasługuj se na zbawienie wieczne, jak możesz, pokiela cie nogi noszą po tej świętej ziemi... Co ono mnie tak ciągnie? Na despet pódę pomału... Niechże leci!

Ale ono go ciągnęło, choć i pomału — i zaciągnęło do karczmy. Amen w pacierzu...

Nie wrócił do chałupy aż na drugi dzień zrana.

W chałupie niespodzianie zastał wnuka. I zamiast się ucieszyć...

— Cóż się tu okociło! — wrzasnął.

Jęk na podłodze i miauk niemowlęcia był całą odpowiedzią. Bojaźń boża wstrzymała go od przekleństw, bo już miał setki djabłów na sumieniu. Pomruczał tylko cicho i podsunął się do łóżka.

— Jakże Zosiu... śpisz?

— Nie śpię — odrzekła.

— Lepiej ci?

— Lepiej... Widzieliście ta mamę?

— O mamę sie nie tróbuj!... Nie chce ci sie jeść?

— Chce.

— Poczekajno...

Poszedł do komory i wyniósł w garnku mleko.

— Pij!

Zosia łakomie piła.

— Takie dobre!

Odetchnęła po chwili.

— A teraz leż cichutko...

Przechodząc, spojrzął na ziemię.

— No! Napijże sie i ty!...

Nachylił się ku leżącej i przytknął garnek do ust. Chlipała chciwie i długo...

— Wiesz, pamiętam o tobie, choć-eś mie taką hańbą okryła... ty... ty...

Niemowlę zakrzyczało.

— Weź-że je! — mruknął ojciec. — Nie dasz rady?

Odstawił garnek i przysunął jej niezgrabnie dziecko do piersi...

— Dejże mu ssać, bo głodne... dyc-eś matka!

Chodził potem z kąta w kąt, pozierał na łóżko, na ziemię i medytował...

— Ho, ho! Co mnie też nadało, aj co!... Kielo bied na świecie, to sie wszystkie na mnie zwały... I chowaj to, biedź, trap sie... Choćbyś trzy rozумы posiadał, to nie wydolesz... Na moją starość! Tak mi przyszło... Cóż poradzisz człeku?... Ochfiaruję ci to, Panie, na odpuszczenie wszystkich grzechów moich i na większą chwałę Twoją... Niech sie już dzieje wola Boska... Trza je ochrzcić! — zwrócił się do Hanki.

— Dyl... — nie mogła więcej mówić.

Ból szybkim kurczem przebiegał po ciele. Łza-wiła duże oczy i twarzy bladej nie odrywała od po-ścieli.

— Tak ci widzisz! — pokiwał głową stary. — Miałaś se to za polekce, a teraz cierp!... — A przy-suwając ku niej garnek, dodał: — Masz tu mleko,

jakby ci sie chciało pić... bo ja pódę! Trza upytać jakich chrzestnych ojców...

Poszedł — i nie wrócił znów, aż na drugi dzień rano. Ale nie wrócił sam: przyszła z nim kumoszka i kumotr, wszyscy troje dobrze podchmieleni.

Kozera odmienił się doznaku za jeden dzień. Rad był wielce wnukowi i raczył go wódką, ledwo że Hanka wstrzymała ten ojcowski wylew zbytnej dobroci. Za to sama pić musiała, bo ją gwałtem przyraczyli.

I Zosia nawet musiała przełknąć dwa kieliszki pornej okowity. Pierwszy wypła chciwie, bo już od wczoraj nic nie miała w gębie; ale drugi ze łzami prawie połknęła, od przymusu.

— Nie widzieliście ta mojej mamy? — spytała.

— Mamie nic! Nie tróbuje się... Leż, kie ci dobrze!

Nie pytała się więcej, choć jej chwilami myśl uciekała do chałupy. Zdawało jej się, kiedy myślała, że już tak dawno, może na wiesnę, jak poszła z chałupy... Potem zdawało jej się, że już tak długo żyje na świecie. Napatrzyła się w ostatnim czasie tylu dziwnym rzeczom!... i nie była już ciekawą, co jej miał Wojtek powiedzieć na odchodnem.

Wnet młoda kumoszka spowiła dziecko, przy czem jej kumotr dużo nadokuczał. Gotowi — stanęli przy drzwiach, Kozera za nimi...

— Jakże mu będzie? — pytała kumoszka.

— Sobuś, Sobuś! — zawołała Hanka.

— Niech mu będzie Tomuś! — odparł stary. — Chrześcijańskie imię... słyszycie?

— Wóla Boska i wasza — dobiegło ze sieni.
Kumotrowie już byli na polu.

— Idziecie wy? — spytała Hanka nieśmiało.

— Muszę iść! — odparł stary. — Bo gotowi dzie-
cka nie ochrzcić, jak się patrzy...

— Wy go ta ochrzciecie! — sarknęła Hanka.

— Leż i słuchaj! O nic się nie tróbuje! — wrzasnął
stary i poszedł prosto za kumotrami dopilnować
chrztu...

Nie wiedzieć, jak się rozeszli, że ojcowie chrzest-
ni poszli do kościoła, a Kozera został w karczmie, przy
drodze...

— Tędy muszą wracać, — pomyślał se. — I tak
się najdziemy, a nie zedrę se obuwia po próżnicy idę-
cy... Niby i w chałupie bych nie zdarł, ale tu lepiej
że ich poczkam... Bo strasznie radbych wiedzieć, jak
oni go też ochrzczą... Czy na moje wyjdzie, czy też
na Hanczyne?

Skracał sobie czas, jak mógł i przepłókiwał
gardło. Doczekał się ich nareszcie. Południe było, kie-
dy przyszli...

— Tomuś! Tomuś! — wołali odedrzwi.

— A co! Nie na moje wyszło? Bedzie ta Hanka
zła! Siadajcie tu przy mnie.

Kumotr dziecko położył na pierzynie, kumoszka
je nakryła chustką — i posiedli.

Kozera też Bogu dziękował po cichu, że docze-
kał się takiej uroczystości.

— Żeby to choć raz do roku! Mój Boże! Upije
się człek i ni ma wyrzutów sumienia... Ale trudno! —

zwrócił się do siedzących. — Takie mie nieszczęście spotkało...

— E, nie bajcież! — odrzekła kumoszka. — Czy my to nie ludzie, abo co! I nam za młodu różne sie trafiały wypadki, a... co bedziecie robić?

— Hej! — przyświadczył kumotr.

— W ręce!

— Dej Boże! Niech rośnie... niech sie krzepi!

— Jeszcze sie z wnętra pociechy doczkacie...

— Ho, ho, ho!

— Pijcież kumie!

— Nie raczcie...

— Bo u mnie, to tak. Jak mam z kim, to wypiję...

— W ręce!

— Dej wam Boże!

— I zesediałbych dzień, dwa dni... nic mie do chałupy nie ciągnie...

— Moiściewy!

Poczęli się raczyć serdecznie i zesiedzieli całe popołudnie, aż do późnej nocy...

Żyd już zamykał karczmę, kiedy kumoszkę zamroczyło i zemgliło doznaku. Padła na ławę, za szynkowny stół i tam już usnęła.

Kumotr uparty wyklócił się na ostatku z Kozera i zapowiedział wszystkim, że idzie prosto do chałupy. Wstał i ruszył od stołu, ale nie mógł nijakim światem trafić do drzwi. Naobracał się po izbie, naobracał — cisnęło nim w kąt, i tam ostał.

Kozera podparł głowę na pięściach, począł drze-
mać, jak zwykle co drugi dzień. Budziło go częste
kwilenie dziecka. Po chwili oprzytomniał.

— E, trza iść do chałupy! Tu nic nie wysiedzę...

Zwykle wychodził o tej porze. Zgratał się po-
woli, poszukał kapelusza, chazukę zawiesił na ramio-
nach. Teraz dziecko... Co tu z nim zrobić? Nie długo
się namyślał.

— Uwiędłobyś do rana... Chodź, pódziemy do
chałupy! — szepnął, wyciągając po nie ręce. — Jak
ja cie tu poniesę? — myślał, trzymając je w dłoniach.

Nagle przyszedł mu pomysł nielada! Aże się ro-
ześmiał — tak się mu ta myśl spodobała...

— Czekaj... włożę cię do rękawa... Tam ci be-
dzie dobrze, ciepłutko, jak w piecu... Bedziesz widział!

Zapiął rękaw haftkami na końcu, podniósł ramię
i wsunął spowite dziecko do rękawa.

— Poniesę cię, jak kukielkę z jarmaku... Zadz-
wi sie ta Hanka! Podźmy, bo już późno...

Otworzył drzwi — na polu ciemno, mgła, drogi
nie widać...

Kozera się przeżegnał krzyżem świętym i ruszył
po omacku... Nogami macał chodnik i szedł prosto ku
jezdnej drodze — na Koninki...

— Kanyż ta ten gościniec? — mrucał. — Ja ku
niemu, on mi z pod nóg ucieka... Myślisz, że cie bę-
dę prosił, cobyś mie poczkał? Juści! Kozera huncfot,
pijak, ale sie ne bedzie dródze kłaniał...

I poszedł prosto przed siebie, zapadając w śnieg
po kolana. Przysiągłby, że dobrze idzie, że go sam

instynkt do domu zaprowadzi... Całą drogę mówił do dziecka, a gdyby dziecka nie miał, sprzeczałby się sam ze sobą, jak zawdy.

— Idziemy se, — mruczał — idziemy prościutko, jak się patrzy... Po co mamy nakładać drogi, kiedy możemy sprościć... Prawda Tomuś? Jakże ci tam w rękawie — ciepłutko? he?... Widzisz, pamiętaj, jakiego masz dziadka! Szanuj go! Nie poniewieraj! Bo drugiego takiego nie najdziesz, choćbyś się dziesięć razy urodził.. Wiedz se! Szanuj go, szanuj! I nie opuszczaj, aż do śmierci... Wnetki urośniesz... będziesz widział! Ja ci to przepowiadam... Sprawię ci chazukę, jak się patrzy, drobniutko wyszywaną... co? Porteckci też, a jakże! Będziesz se parobkiem!

„Hej... za stodołą kury pasał,
Na ramieniu portki nasał!.. ”

Zaśpiewał głośno.

— Nie podoba ci się? O cóż ty beczysz?... dziecko! Miejże rozum, nie zawodź, boś nie ino ty nie-szczęśliwe... Żle ci tam w rękawie? Widzisz, nie pamiętałyś, kiedy cię chrzcili... e cicho-że!

Perswadował mu i uciszał, dopóki się dziecko nie uciszyło zupełnie.

Szedł i szedł prosto przed siebie, zapadając w śnieg coraz głębiej. Mgła obsiadła go dookoła, w oczach poczęły mu majaczyć smreki — wieże — kościoły...

— Oho, już mie zajęło! — szepnął.

Zdawało mu się, że stoi nad urwiskiem... lada chwila usunie się mialki śnieg i — wpadnie... Wracił napowrót — i to samo. Zabrał się naprzód i ze ździwieniem spotykał swoje ślady.

— W kółko mnie wodzi — pomyślał. — Ale poczekaj! Ja ci się tu nie dam. Żeby na drogę trafić...

Poszedł w prawo, myśląc rozumnie, że wyjdzie na gościniec. Nawet mu się zdawało, że widzi osiedle; wyraźnie rozpoznawał białe dachy.

— Dojdę, bo niedaleko...

Począł iść ku temu osiedlu, nie patrząc już pod nogi... byle jak najprędzej dojść do chałup!

Ale chałupy cofały się przed nim i za zbliżeniem oddalały we mgle.

— Czy widmo? — klął po cichu. — Dyc ja tu przecie zawdy muszę kany wyjść... Nieporada, cobych tu ostał. Chryste Panie!

Modlił się gorąco, odmówił wszystkie pacierze, jakie umiał na pamięć i szedł uporczywie do chałup, widnych z daleka we mgle. Potok nie potok, zaspy, debrze, urwiska — wszystko przeszedł i zmierzył... napróżno! Począł wątpić, czy dojdzie do chałup tych przed śmiercią...

Szcęściem mgła się podniosła, i Kozera ujrział dwie topole nad swoim okółem...

— No, chwałaż Bogu! — oddechnął ciężko i otarł pot. — Ale mnie też uwodziło, jak nigdy przedtem...

Przyśpieszył kroku, i prawie poczęło za mgłą świtać, kiedy stanął w izbie.

Hanka zerwała się na siedzącko.

— Kanyż Sobuś? — wrzasnęła.

— Tomuś, nie Sobuś!

— Kanyż je?

— Dyć-ech do krzty o nim zabaczył...

— Kanyż je?! Mówcie!

— Nie krzyczże! bo sie mu haw nic nie dzieje...

Podniósł prawe ramię i sięgnął.

— Chryste Panie! Dyć go nima w rękawie...
o, bedziesz ta! haftka sie urwała...

— Zbóju! — skoczyła Hanka.

Zachwiał się, gdy przeleciała koło niego boskiem
do pola — i poszedł za nią bezmyślnie, aż ku studni...

XI

Tymczasem stanęła gonciarnia, tuż poniżej Chybowego tracza. Ludzie się schodzili, jak na widowisko. Niejeden rad ujrzeć na własne oczy tę „cudną” maszynę, co rznie gonty, fuğuje i na bok odrzuca...

Sława Jaškowa rosła po wszej ziemi. Tłummy narodu z daleka szły oglądać jego „cudo”. Dziwowali się wszyscy temu „djabłęciu”, jak nazywali wynalazek, i z zapałem chwalili Jašków spryt i przemyślność.

— Trza dopiero talantu, żeby to zrobić!

— Ani to widział, ani słyszał, i tak z niczego wyduma...

— Mościewy!

Jeden tylko stary Chyba oponował srodze. Ile razy przyszedł na tracz i znalazł się między gromadą, podziwu pełną dla Jaškowego talentu, zawdy coś znalazł do wytknięcia. To walce nie foremne, to kółek za dużo...

— Ja by to — mówił — inaczej urządził... Daleko prościej i z niewielgim nakładem pracy. Cóż to? Głupstwo! Nie wielga sztuka...

— To czemużecie nie zrobili? — pytali go śmielsi.

— Czemu? Bo już on zaczął! Alech mu dospomagał rzetelnie: radą, słowem... Coby on bezemnie zrobił, jak i Jasiek?

Słuchali go w milczeniu, ale widział ze złością, że mu nie bardzo dowierzają. A tyle razy opowiadał ludziom, jako się wielce przyczynił do powstania owego wynalazku, że wreszcie sam w to uwierzył i gniew go porywał, gdy się kto ośmielił wątpić...

— Pracuj! radź! dokładaj sie! to cię potem nie widzą... Bydło przekłete! Byle osieł ma u nich takie samo znaczenie, jak i ty, co masz rozum. I łam tu głowę la nich, kie nie umią ocenić twojej pracy...

Naklął się dosyć, naklął, po cichu i głośno, ale nie uśmierzył doznaku zazdrości, co mu się wgrzyła w serce. Szukał ino okazji, jakby się zemścić za mniemaną obrazę.

— To ja wam, hycle, robił, co sie nawinęło pod rękę, i dziś mną pomiatacie, jak wiechciem? O psy! O niewdzięczniki!

Ale cóż miał robić? Stu ludziom nie da rady...

Za to na Jaśku postanowił złość wyrzucić... ale jak? Przemyślał często nie widział żadnego sposobu. Rad nie rad, musiałby dać za wygraną, gdy mu przyszedł do głowy nadspodziewanie dobry pomysł.

— Ja cie tu nauczę! — pomyślał. — Nie przemądrzaj starego ojca, kieś sam kiep...

Gonciarnię Jasiek ustawił poniżej tracza, tak, że chcąc wodę puścić na koło, musiał ją brać ze starej przykopy. W tym celu porobił z desek długie skrzytnie i, umieszczone wysoko na palach, połączył z końcem przykopy — tak, że zawdy niewielka ilość wody odchodziła na wodne koło gonciarni.

Tej wody pozazdrościł ojciec Jaśkowi, poszedł i przykopę zastawił...

— Niech ci stoi! — myślał, wracając do izby. — Nie będą już do ciebie procesje chodzić...

Jasiek był w kuźni. Skoro wyszedł i zobaczył, co się stało — czempędzej pobiegł do chałupy.

— I cóżeście mi zrobili tatusiu! — zawołał.

— Zabrałeś swoją wodę... rozumiesz?!

— Dyc woda naprzód Boska... a potem... — tłómaczył Jasiek, powoli wymawiając każdą zgłoskę.

— Nie mędrkuj! — wrzasnął Chyba. — Mnie wody trza na koła. Jak przydą większe mrozy, to skąd jej wezmę? Na tracz i na młyn wody zbraknie, a ty se bedziesz figielki pokazował? co?...

Jasiek powstał, podumał chwilę... Zabolało go bardzo, że ojciec figielkami nazywa jego ciężką pracę... Ale niechta!

Odszedł w milczeniu i poskarżył się chłopom na traczu.

— Tak mie ociec... tak mie prześladuje...

— To sie nie daj! Broń swego! Szkoda i graj-cara.

— Dyc mi nie o to chodzi... Ale ja, wicie, mam uciechę, jak widzę, że idzie...

— To też!

— Pociąga mnie do pracy...

— Coby nie! — przyświadcza! — Zwartnie sie
zawdy jaki grajcar... Narobić sie z tem, narobić i po-
tem ni mieć żadnego pożytku?

— Ale o to nic! Dejcie spokój...

— Nacóżeście stawiali, jak nie na zarobek? —
pytali go zdumieni chłopci.

— Choćbych centa z tego nie wziął, choćby pół
szeląga!... To... — machnął ręką. — Ino mi tego żal,
jak to przydzie na nic... Jak sie tak, wicie... zmarni
ot... co se obmyślę.

— Przecie on ino głupi! — mówili między sobą,
gdy odszedł, i kiwali głowami z politowaniem.

— Po kiegoż djabłów stawiał, jak na tem nie za-
robi?

— Hej!...

Jasiek miał zamiar przenieść gonciarnię za wodę
i zrobić nową przykopę. Ale rozważył i przekonał się,
że w zimie tego nie porada uskutecznić, aż chyba na
wiosnę. Dał więc pokój gonciarni, a zabrał się do cze-
goś inszego, co mu się oddawna roiło po głowie...

Począł znów częściej w kuźni przesiadywać i na
traczu, a Chyba widząc to, mrucał:

— Znowu cosi majstruje! Niech go kolki...

I nieraz poszedł przysłuchać się z ciekawości, gdy
oğowiadał w kuźni chłopom, co zamyśla...

— Do czego będą te sztabki, moiściewy?

— To... do koła — objaśniał Jasiek.

— A koło do czego?

— Samo do siebie...

— Hm... — dziwowali się. — Co to ma być?...

— Znowu cosi nowego wymani...

— Nie myślcie! — uśmiechał się Jasiak. — Nic wielkiego...

— Ale przecież?

— Bedzie taki wieczny chodzac... Już wiecie?

— Hm, hm...

— To coś, jak „wieczny żyd”...

— To, to właśnie! Zgadliście.

Uśmiechał się blado.

Teraz już chłopci nie wątpili, że Jasiak zgłupiał do reszty. Żalowali go między sobą...

— Co to wicie dumanie da? — mówili. — Łatwo może o nieszczęście przyprawić...

— Hej! pomięsza rozum doznaku...

— A szkoda go! Bo ma talant...

Stary Chyba inaczej sądził. Wiedział on, a jeśli nie, to się domyślał, co to ma być ten „chodzac”... Zauważył już dawniej, że Jasiak, majstrując nad zegarem, mrucał: „Jakby tu urządzić, coby on szedł bez nakręcania...” Przypuszczał wonczas, że się głupstwo chwyciło Jaśka i trzyma, ale teraz widzi, że on naprawdę myśli o czemś podobnem. Bo odczuł dziwnym sprytem, że to ma związek z tamtem... niewątpi- wie! I choć prawie był pewny, że się to Jaśkowi nie uda — lękał się czegoś... Nieznane dręczyło go i nie dało mu spać spokojnie. Zapomniał na razie o wszyst- kiem, tylko to jedno siedziało mu kamieniem na sercu.

Przypatrywał się Jaśkowej robocie, zachodził ze wszystkich stron, wreszcie nie mógł dłużej wytrzymać i zapytał:

— Nad czym ty dumasz? Powiedzno-mi...

Jasiak się zdziwił niepomiernie. Pierwszy raz ojciec interesuje się jego robotą. Co to w tem? — zastanowił się, ale wnet odpowiedział:

— Dy widzicie... myślę robić koło, coby samo szło... bez popędzania.

— I co dalej?

— Sam nie wiem... ale mi się zdaje, że to już dość... — potem zaś dodał: — Miałbych na myśli zegar... to już wiecie... Maszynę taką, coby szła bez wody...

— Ho, ho, ho! Bo to łatwo!

— Ja nie wiem... Ale przecie nic odrazu nie sta-
nęło...

— Dumaj, dumaj!

— Bóg dał człekowi rozum, coby dumał...

— Przeżegnajże się krzyżem świętym!

— Co wam to szkodzi tatusiu?

— Zwarjujesz! Zginiesz pierwej chrobaku marny!
Nim to zrobisz...

— Moc Boska!... przydą insi... to mie wyluzują...

— Gadajże z nim! on swoje! Ja ci padam, jako
ocieć, żebyś to zaprzestał!...

— O nie... darmo! Podejcież mi tę sztabkę, co le-
ży u progu...

Chyba zaklął siarczyście i wypadł z kuźni. Już się więcej nie mieszał do Jaśkowej roboty.

— Niech duma! Niech przymierza! Kiedy taka uparta jucha sobacza. Zachciało mu sie djablej służby, niechże robi! Ja sie już do niczego nie mieszam!

Ale nie wytrzymał, by choć raz na tydzień nie zajrzeć do kuźni. I jakaż była jego uciecha, gdy pewnego dnia nadszedł Jaśka — prawie w rozpacz... Siedział na progu zgarbiony bólem, a oczy błędne utkwiał w żelaznem kole, zawieszonem pionowo na walcu.

— Cóż ci to Jasiu? — spytał z udaną troskliwością.

— Nie chce iść... — jęczał Jasiek.

— A widzisz! Nie mówił ci: Dej spokój! Słuchaj ojcowskich rad i nie dumaj, bo sie to na nic nie zda!

Jasiek jednak nie ugiął się tak łatwo i nie zniechęcił. Przebolał jedno koło nieudale — teraz począł robić dębowe, podobne do wodnego w traczy. Różniło się tem, że miało w miejsce piór zamknięte skrzynki, a połowa szprych i walec były wewnątrz puste. Robił je z wielkim mozołem i długo, aż nareszcie wykończył.

Teraz już gorączkowo począł myśleć nad wykonaniem reszty. Wbił słupy obok tracza, nasadził koło pionowo między nimi na żelaznych czopach, a od nich rury puścił prosto na przykopę.

— Kiego djablów on myśli? — niecierpliwił się Chyba. — Chce świat przewracać do góry nogami? Co to za uparta jucha! Powiedzcie...

Chodził tu i tam, robota każda wypadła mu z ręki. Tak go ten Jasiek trapił. Dręczyło go nieznanne...

— Uda się? czy nie uda? — klócił się myślami, nie wiedząc, że Jaśka prześladowuje sto razy większy niepokój.

Tak uszło parę dni, jak w ciężkim śnie, w dziwnej gorączce oczekiwania...

Aż tu raz wpada Jasiek do izby z szalonym krzykiem radości:

— Idzie! idzie!...

Hażbieta myślała, że zwarjował. A kiedy Chyba pognał za nim w pole bez kapelusza — klękała z przestachu i poczęła się modlić...

Na trawie stał Chyba z włosom rozwianym, Jasiek przy nim. Patrzyli obaj w dół, przed siebie, gdzie pomiędzy palami obracało się samo koło...

Woda weszła rurami przez czopy, walec i wydrażone szprychy, wypełniając nierówne skrzynie — tak, że punkt ciężkości leżał w największej skrzyni na obwodzie. Stąd koło, popchnięte w ruch nagłym przypływem wody, mogło się długi czas obracać...

Jasiek nie mógł ustać i chwilki — zbiegł na dół, patrzył z bliska... przyczem śmiał się, jak dziecko, czasami wykrzykiwał głośno.

— Idzie! idzie!... Już go mam! Zegar!... Cudo boskie!

Chyba wciąż stał i patrzył, a oczy mu zachodziły mgłą... Zrozumiał teraz Jaśka.

— Okradł mię! — wykrztusił. — Zabrał ze krwi

co było... talant, siły, wszystko!... Na służbę djabłu!...
Niech się zapadnie! raz, dwa!... idzie!... wciąż idzie...
samol... o... na wieczność!! — wrzasnął przeraźliwie,
aż Jasiak podbiegł ku niemu.

— Co się stało?

— Idź... idź mi z oczu! — wycharczał tak zawzięcie, że Jaśkowi twarz pobieliała.

I odszedł Jasiak zalękniony i nie pokazał się w chałupie, cały dzień ślęcząc przy tem kole.

A Chyba z izby wyzierał co chwila.

— Może ustanie? Kto wie...

A koło szło wciąż, bezustanku, miarowo — ni prędeż, ni wolniej...

Śródwieczarz był.

Z poza wierchów padały na tracz ukośne promienie, przezierając się w pile. Wszędzie cichutko, spokój wielki... ino woda szumi na przykopie, wiaterek zawiewa szum...

W cieniu za okółem stał Chyba. Ukradkiem wyzierał z za węgła. Po twarzy jego przebiegały kurcze, a siwe oczy zalewała krew...

Od rana przeżył długie życie, czyścowych pełne mąk. Coś nieznanego przedtem działo się w jego duszy...

Koło przy traczku obracało się wciąż, rwało jego oczy ku sobie i przykuwało dziwną siłą. Zdało mu się chwilami, że to wieczność, zaklęta w kole przez Jaśka, patrzy nań i urąga:

— Takis mały! Takie nic...

Chciał się schować gdzieś, uciec, ale żadną miarą nie mógł oczu oderwać od koła. I przeląkł się okropnie, że jest skazany na wieczną mękę. To koło wiecznie musi iść, on musi wiecznie na nie patrzeć!...

Wówczas, pełen rozpaczy, wołał:

— Stanij! stanij!

A koło przy traczu obracało się wciąż...

Haźbieta w izbie, klęcząc przy łóżku, modliła się za obydwo: ojca i syna... i szlochała boleśnie.

Chyba za oknem stał i śledził uporczywie miarowy obrót koła...

— Idzie... idzie...

Oczy chwilami zachodziły mgłą, pewny już był, że koło stanęło... Przetarł oczy rękawem...

— Idzie! idzie!...

Przechylił się naprzód za węgły, rękę sparł na kolanie i patrzył... Nogi mu wrosły w ziemię, skamieniał doznaku.

I widział Jaśka, stojącego nad kołem w zadumie. Przejerał go myślami, duszę chciałby mu wydrzeć na wierzch, by zobaczyć, co się w nim dzieje...

— Duma... — szepnął. — Już duma!... Wątek bierze od koła i plany układa... Abo kto wie, co się mu we łbie roi?... Bedzie zegar majstrował... niezawodnie!... Potem co?... tracz bez wody... Kto wie, co się myśli... Wnetki cuda wykona... Zejdą się ludzie... ludzi moc! Bedą mu się dziwować... Ty ojczyste na bok!... Tyś kiep!... Jasiek ino Jasiek!

Przetarł oczy, bo zdało mu się znów, że koło stoi... ale nie!

Ono idzie... wciąż idzie!... Na chwilę nie stanie...
Powoli się obraca, ale zawdy... zawdy...

Nagle drgnął. Zdało mu się, że Jasiek wszedł pod
tracz, między koła...

— Idź, wodę puść! — szarpnęło Chybę.

Zawahał się jedno okamgnienie — poskoczył szy-
bkim pędem i puścił wodę...

Zajęczały walce i równocześnie — krzyk!... Po-
tem coś, jak łamanie kości...

Naraz stanęły wszystkie koła.

I Jaśkowe koło przestało się obracać.

Chyba zmartwiał doznaku. W obłędzie strasznym
leciał ku chałupie, wołając głośno:

— Ratunku!!

Wpadł do izby — Hażbieta klęczała przy łóżku...

— Jasiek się zabił! — wrzasnął.

Odwróciła ku niemu załzawione oczy.

— Ja się od rana tego spodziewała... Kanyż
e? — spytała smutno.

— W tracz!

Wstała i wyszła, nic nie mówiąc, a Chyba upadł na
ławę.

— Chryste Panie! ratuj mnie!... to nie naumyśl-
nie! to mię djabeł podkusił! Ja nie winowaty!

Ale serce mówiło: „Ty sam! ty, ty, ty, ty!...”

W obłędzie padł na ziemię, począł bić się w pier-
si i jęczeć okrutnie.

Weszła Hażbieta.

— Nie był rad na niego — pomyślała — a tak
desperuje... zawdy ociec!

Chyba się upamiętał wreszcie, siadł na ławie, a po chwili zapytał synowej:

— Widziałaś go?

Skinęła głową, wyjęła książkę ze skrzyni i poczęła szukać modlitwy za dusze zmarłych...

Od tracza dolatywały szmery i głosy pomieszane. Chyba ucha nadstawił ku szybom, ale nic nie mógł zrozumieć, ani słowa. Drżał wewnętrzną obawą — lękał się posądzeń...

Przeszedł cały czyściec niepokoju, nim się odważył wyrzeć z chałupy. Ale skoro stanął wśród ludzi i zobaczył mnóstwo ciekawych oczu, wnet się otrząsnął z obaw i był, jak zawdy, skamieniały.

Zamierzył nawet zejść pod koła, ale dojrawszy przez otwór potraczone części ciała — cofnął się i został na traczcu.

— Jak się to stało mościewy? — pytali go ludzie.

— Wiem ja? Kiedy mie tu nie było...

— Dyć-ech was widziała, jakeście pędzili... — poczęła sąsiadka.

Ale Chyba tak spojrział na nią, że nie śmiała dokończyć.

— Przyleciałech — objaśnił — ale już po niewczasie.

Więcej się nie mieszał do rozmowy. Tylko sobie powtarzał bezustanku: „To nienaumyślnie!” chcąc zagłuszyć serce doznaku.

— Co on zdołał zrobić, że się zabił? — mówili ludzie między sobą.

— E nie wicie, jak powiadała Hażbieta, że już od rana taki był... Sam nie wiedział, co robi. Śmiał się, pada, i latał całe dopołudnie. Ona już czuła, że z tego śmiechu nic dobrego nie wypadnie. No i wicie. Ledwo pół dnia uszło...

— Z rozumu nic dobrego!

— Hej! Bo ino jedna mądrość Boska...

— To, to! Zajrzał on wam kiedy do kościoła? Ino w tych marnościach świata wiecznie był zadumany.

— I co mu z tego przyszło? Zgłupiał doznaku... Żałowali go też powszechnie.

— Nie będzie miał kto pługą zrobić — mówili.

— Ani kopaczki poklepać!

— Ani sierpów zaciąć!

— Ani siekiery nadłożyć!

— Zadumał się doznaku i marnie zeszedł...

— A szkoda go! Miał talant...

*

* * *

Pogrzeb się odbył wspaniale. Stary Chyba nie żałował nakładu. Ludu się naszło moc, ze wszystkich stron, bo Jaśka nieboszczyka znali wszędy... Ksiądz kazanie powiedział na cmentarzu, takie żałosne, że ludzie łez nie mogli powstrzymać... Wszystek naród jęczał i zawodził boleśnie.

Chyba nad grobem stał — zimny, jak kamień. Niktby nie zgadł, co się dzieje w jego duszy. Podczas kazania ani jednej łzy nie uronił — stał i patrzył w głąb wykopany, suchem okiem... Tylko, gdy trumnę

do grobu spuszczano, uczuł w piersiach przejmujący ból — niby trzepotanie i krzyk konającego ptaka... Tak się odzywa śmierć lub narodzenie serca.

Od grobu fala go poniosła... Staął z boku, przy wejściu i czuł, że nie odejdzie tak, że go coś trzyma i woła napowrót... Stał i patrzył otwartem okiem na płynącą falę. Nie widział nic, nie poznawał nikogo... Szmer przyciszonych rozmów płynął ku niemu, szuszczał dalej po gałęziach, niedosłyszany. Jedne tylko słowa uderzyły go wyraźniej, choć wyszeptane prawie cicho:

— Tu leży Kozerowa Hanka... ta, co wicie...

Więcej nie słyszał nic. Stał między świerkami i czekał, dopóki ostatni człęk nie opuścił cmentarza.

Wtedy poszedł powoli, utykając po grobach, do świeżej mogiły.

Stał nad nią z pochyloną głową, załamał ręce i zapatrzył się w czerwoną ziemię...

XII

W jasną i mroźną noc, koło północy, szedł drogą od kościoła Józek Margoścyn... Na ramieniu dźwigał tchołek niewielki, szedł rażno po białym, wyszklonym gościńcu.

Przed nim występowały góry białe, oblane mglistym światłem...

— Hej góry! Moje góry!... Jak ja was dawno nie widział!

Z rozkoszą wdychał mroźne powietrze i szedł po skrzypiącym śniegu — prosto w Koninki. Mijał po drodze znajome osiedla...

— Tu Zapałowie — szeptał — hań Porębscy... Jeszcze kawałek do chałupy...

Po niebie za nim księżyc szedł, jasny i zimny, niby zwierciadło lodowe o stu oczach, utkwionych w słońcu. Miljardy gwiazd na niebie płoną, połowa spadła na ziemię, rozsypując się w drobne kryształki. Postroiły one szatę ziemi w błyszczące djamenty.

— Jaka tu ładna zima! — szepnął Józek. — Zaczarowany kraj...

Z podziwem patrzył dookoła.

— Co tu djamentów... Mój Boże! Kieby to prawdziwy choć jeden! Zaniósłbych se matusi... Ukochali by mie... oj! wierzę... A ludzie by sie dziwowali...

Sposepniał nagle. Zbaczył se ową noc, kiedy to z karczmy uciekał przed ludźmi... Tą samą drogą szedł. Myślał wtedy, że idąc do świata, panem wróci i zakasuje wieś... Mocny Boże!

— Darmo se naprzód układać! — pomyślał. — Wszędy trza robić, jak i tu, a letko nic nie przydzie...

Przyspieszył kroku, a myśl wyprzedzała go, lecąc ku chałupie.

— Czy też ta zdrowi jako? — myślał. — Nie spodziewają się mnie... Bo Wojtek mówił, że na święta... A tu cóż było robić? Chcący przywieść pieniędzy — trza było iść, jak sie ino robota skończyła...

Z daleka dojrzał dwie ciemne topole nad Kozerym okółem.

— Chwała Bogu, zech już tu... — szepnął. — Ani bez myśl nikomu nie przejdzie, że ja tu idę... Ktoby sie spodział, i o takim czasie! Wszyscy śpią... żywej duszy nie widać nikany... Ciekawym, co se ta Chyba poczyna bez Wojtka? Musiało go to złościć, że bez jego wóle... no, myślę!... Ale i Wojtek szelma! Kto by to mógł pedzieć... Tak sie rwie sam do świata... I nie źle mu bedzie, chwała Bogu, lepiej, niż u ojca... bo cóż tu miał? Pasek na śniadanie, laskę na obiad, a kij na wieczerzę, jak sam powiadał... Gadał mi też, jak sie nie myślę, że Jagnieska u nas komoruje... Co ony tam wszystkie jedzą, to nie wiem... Może Jagnieska ma

ziemniaki, abo jakie ziarno... ale skąd by wzięna?... Muszą i bez omasty biedować... Bo ktoby im ta po-
dał?

Im bliżej był chałupy, tem ciekawość rosła. Rad-
by wszystko wiedzieć odrazu. Tak dawno ich nie wi-
dział!

— Jak też mama wyglądają... Czy nie chudzi?
I Zosi pewnie przybyło? Wojtek mówił... Nie wiem,
co on się tak Zoską interesuje?... Przejęty skrab!

Droga się rozchodziła. Józek przystanął chwilę,
otarł pot rękawem i skręcił na lewo, ku Chybowemu
osiedlu.

— Ho! Już wnetki! — pomyślał. — Zajdę niespo-
dzianie... Zaburzę się do drzwi... „Kto tam?” —
„Ja” — „Jaki ja?” — „Nie poznajecie mnie?” —
„Wszelki duch!...” Mama sie rozplaczą... bo oni zawdy
radzi płakać przy takiej okazji... Potem zaświecą... Ja
zdejmę tobołek i położę pod oknem na ławie... Potem
Zosia zbudzi sie i wyskoczy z łóżka... przyleci ku mnie..
obłapi mnie za szyję: „Józuś!” — powie mi tak ser-
decznie, jak ona to umie... Potem zacznie z ciekawości
majstrować koło tobołka... Ja jej powiem: „Nie
rusz!...” Dopiero rano, jak już słońeczko wyjdzie, otwo-
rzę sam tobołek i zacznę wyjmować po jednym...
chustkę la mamy... chusteczkę dla Zosi... ucieszy sie ta!
Już ja widzę, jak bedzie skakać po izbie... A jak będą
pozierać: co jeszcze?... powiem, że niema nic... Dopiero
po chwili, po dużej chwili, otworzę pulares i położę na
oknie całą dziesiątkę... „Macie! to la was!...” Toż to

bedzie uciecha!... Nawet Jagnieska bedzie rada... Po-
tem...

Urwał nagle wątek uciesznej fantazji, bo już prze-
szedł Chybową chałupę i swoją zobaczył naprzeciwno.

Z bijącym sercem minął ławę i stanął za wodą.

— Już ino parę kroków!

Nie szukał chodnika, lecz pobiegł prosto po śniegu
i stanął przed sienią. Przeżegnał się parę razy — i za-
stukał do drzwi...

— Śpią... — szepnęła.

Wstrzymał oddech. Słyszał wyraźnie uderzenia
serca.

Po chwili zastukał drugi raz — i czekał.

— Nic nie widać!... Śpią twardo... Trzeba trochę
mocniej.

Uderzył butem we drzwi — i drzwi się otwały.
Omało nie upadł na progu, takie straszne zimno owia-
ło go ze sieni...

Strach objął go i serce uderzyło mocniej.

— Czy ni-ma ni-ko-go?... dzwoniły mu zęby.

Ale się gwałtem przemógł i wszedł do sieni...
Księżyc za nim poświecił... śnieg!

W najwyższej trwodze chwycił za skóbel i szarp-
nął. Drzwi zamrożone odskoczyły...

— Aaach! — zakrzyczał okropnie.

Zatrzasnął drzwi i wypadł w pole... Szalonym
pędem biegł za wodę, a przed oczami jego stały wciąż
w świetle księżycy wielkie, szklane oczy...

Poprzed Chybowe okna szedł pogrzeb Margoški. Dziwnie smętną żałobą płynęła w dal czyścowa pieśń...

Chyba uciekł do komory i zamknął się. Ale i tu doleciały go wyraźne słowa:

„Możny i ubogi równy —
Nikt od śmierci niewymówny...
Któż wie, na kim kolej stoi?
Przeto niech się każdy boi...”

Oddalił się już smutny pochód i zniknął za okolem, a w uszach starego wciąż jeszcze dzwoniła żałobna nuta i przejmujące, ostre słowa wdzierały się do mózgu.

Wyszedł na izbę i rozpatrzył się dookoła... pusto! ani żywej duszy!... Chodził z kąta w kąt i nie mógł se nigdzie miejsca znaleźć. Wszędy czaił się utajony niepokój... z sieni, z pod ławy, z pieca — zewsząd wychylał ku niemu zagadkowe oczy... Wszedł do izdebki — on za nim... Stał w piekarni — on już tu... Ani się go pozbyć! Opuścił izbę i wyszedł przed sień, a wiatr ku niemu przywiał z oddali:

„Któż wie, na kim kolej stoi?”

I zachichotał przeraźliwie...

Chyba zwrócił się na lewo i począł biedz ku wodzie — nagle stanął... bo zdało mu się, że Jasiak wszedł pod tracz między koła.

Mróz przebiegł po jego ciele, bał się kroku naprzód postąpić.

— Przywidzenie! — mruknął i powoli zawrócił ku chałupie.

Wszedł napowrót do izby, ale coraz większy niepokój go ogarniał. Zdało mu się, że lada chwila skrypcie ktoś drzwiami i stanie przed nim... To mu się zdało, że widzi w mrocznym kącie wielkie szklane oczy, patrzące ku niemu prosto z niemym, strasznym wyrzutem...

Przerażony, zamykał wzrok... To mu znów poczęła w uszach dzwonić żałobna pieśń.

Nieznany lęk osiadał mu na piersi, mroził krew, czasami serce ścinał w lód.

Począł mówić głośno. Słowa dudniły w pustych izbach i przerażały jeszcze bardziej...

I począł bać się tej pustki okropnej... Sam! ani żywej duszy! Nikogo...

Chwilami zdało mu się, że ktoś jest przy nim... Wtedy martwiał cały i włosy podnosiły mu się na głowie.

Chciał pędzić gdzieś daleko, lecieć bez pamięci, ale wnet pomyślał, że nie ucieknie... darmo! Niepokój za nim pójdzie i na koniec świata... Choćby pod ziemię skrył się, to go najdzie.

Złamany — powlókł się w pole, usiadł na przykopie i oczy utopił w płynącej wodzie...

Długo tak siedział nieruchomie i odgarniał uporczywie wdzierające się ciżbą myśli. Zwolna niepokój odszedł i lęk — a pozostał w nim tylko smutek i przygrębianie i jakaś bezgraniczna pustka...

Oczy biegły za wodą nieustannie, a on się zapa-

trzył w siebie i widział duszę swą opuszczonym ugor-rem, gdzie osty mogą wyrastać bez siewu... Widział ją tłokiem niezorany, bez miedz, bez kęp, bez granic... Nic nie wyrośnie na nim, prócz ostów, ni trawa, ni jałowiec... bo ziemia, uprawiona krwią, trującymi wyziewami oddycha. Ptak nad nią nie przeleci, z daleka ominie...

Jak okiem dojrzeć—pustka, bezgraniczna pustka...
To jego dusza.

Zapatrzył się w nią długo i poczynął martwieć powoli... Dojrzał wieczność w tej duszy opuszczonej... jakieś nieznane, wielkie, dalekie, jak lądy, a tak niepojęte, niezbadane, jak niezmierzone morskie dna...

Pstrąg uderzył go w nogę i rozbudził.

Chyba podniósł głowę i rozglądnął się dookoła.

— Taka sama pustka, ino większa... o! daleko większa...

Zdawało mu się, że stoi na tamtym świecie, wśród ugorów i widzi mały skrawek tego świata, który mu pozostał...

— Taki mały! takie nic...

Obejrzał się daleko — jeden ugor... Na czym to ludzie żyją?... Spojrzał na rzekę... Po co ta woda płynie?... płynie... płynie... goworzy...

Wysłuchał się w ten odgwar cichy, daleki... i zaczął wracać za latami ojcowskiej chaty... Potem zwolna przechodził życie od kołyski, wszystkie złe uczynki na świecie.

Czas upływał za wodą, a Chyba kończył miłującą spowiedź życia, zaczetą na Jaśkowym grobie... Oczy

mgłą zachodziły — wargi drżały — głowę pochylił na kolana i szeptał wodzie bez przerwy...

— Poniesie morzu... Bóg nie wysłucha... darmo!...
Na wieczną pustkę!... na śmierć...

Szumiała woda na przykopie, wiatr zawiewał szum...

Dwie łzy upadły w wodę...

Chyba zapłakał.

Po chwili głowę uniósł na rękę i oparł.

— Sam... sam jeden...

Przed oczami jego stała niska chałupina za wodą. Zabrali się stamtąd ludzie — odeszli i drzwi nawet nie zawarli za sobą. Tak bywa.

Stary Chyba długo patrzył ku niej, jakby się spodziewał, że kto wyjdzie i stanie na progu... Wreszcie pokręcił głową osiwiałą i wyszeptał ze smutkiem:

— Dyć my tu na tym świecie wszyscy komornicy...

K O N I E C

PRECIOZA

Jedyny radykalny środek przeciw piegom
i opaleniźnie.

Usuwa nawet żółte plamy wątrobiane.

SKŁAD GŁÓWNY:

PERFUMERJA „PERFECTION“

SZPITALNA 10 W WARSZAWIE

Mydło Alkaliczne

do mycia twarzy osób z cerą tłustą, po-
tyskującą, skłoną do węgry i pryszczycy
oraz przy łuszczeniu się skóry.



W wypadkach uporczywszych
używać należy N: 2.

TOW. A.K.C. *Fr. Karpiński*
-WARSZAWA-

Do kóje gozbiom - fiansmal mi podpisany
na karte tekstilovej. dňa 9/1 930 r.

Anton Broz

